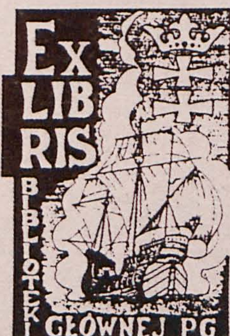
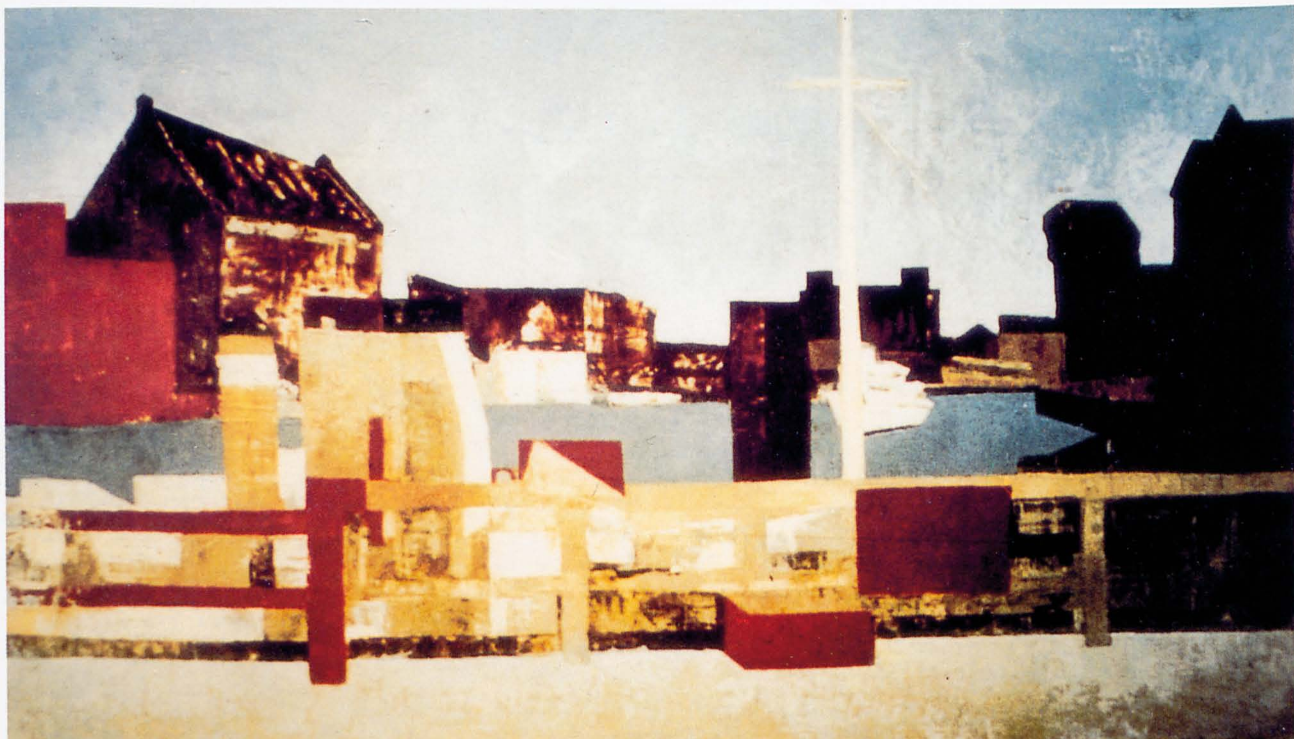
Z HISTORII POLITECHNIKI GDAŃSKIEJ...



ISBN 83-904107-0-2 Nr 4 Grudzień 1995



Motława 1962

Kazimierz Śramkiewicz

Przystań w Gdańsku na Motławie 1990



Rok Jubileuszowy Politechniki Gdańskiej, którym był rok akademicki 1994/1995, mamy już za sobą. Czas teraz na jego chociaż krótkie podsumowanie, na refleksje...

Przygotowania do obchodów były niezwykle trudne. Pamiętam doskonale początki. Znaczna część środowiska akademickiego miała szereg wątpliwości i pytań, z których najczęściej powtarzano: „Jakie daty i zdarzenia w historii Uczelni są najważniejsze?", „Co w ogóle zamierzamy obchodzić?", „Jak oddzielić istniejące jeszcze emocje związane z trudnymi okresami złożonej historii Polski i Gdańska?".

Najmniej wątpliwości budziły obchody 50-lecia Uczelni, choć i tu możliwe było obchodzenie rocznicy wydania Dekretu przekształcającego Uczelnię (24. maja 1945 r.), lub rocznicy pierwszego wykładu (22. października 1945 r.), a więc praktycznego rozpoczęcia zajęć. Zasadnicze wątpliwości dotyczyły obchodów 90-lecia, tj. początków działalności Uczelni od 1904 r. Czy powinniśmy obchodzić rocznicę powstania Uczelni, której zadaniem - jak mówili politycy - było szerzenie niemieckości na Pomorzu? Wątpliwości dotyczyły też sprawy jej ciągłości, ponieważ większość kadry z 1945 r. stanowili profesorowie Politechniki Lwowskiej, a także Politechniki Warszawskiej. Czy niemal czterdziestu byłych studentów Politechniki Wolnego Miasta Gdańska, tworzących potem część kadry naukowo-technicznej Politechniki Gdańskiej, to już wystarczy, by mówić o ciągłości? Czy piękny Gmach Główny i inne budynki Politechniki Gdańskiej, zniszczone łącznie w 16% - a potem odbudowane, taką ciągłość zapewniają? Poważną przeszkodą były doświadczenia osobiste, w szczególności Polaków studiujących w 1939 r., którym uniemożliwiono studiowanie, a nawet brutalnie wyrzucono z Uczelni. Z drugiej strony, jak nie mówić o całej 90-letniej historii Politechniki Gdańskiej, kiedy Gdańsk przygotowuje się do obchodów swojego Milenium?

Nowa sytuacja polityczna, po zmianach systemowych w 1989 r., a także nowa sytuacja międzynarodowa, zaistniała po symbolicznym obaleniu muru berlińskiego, dawała po raz pierwszy możliwość mówienia o całej historii Politechniki Gdańskiej, i to pełnym głosem. Trudne były rozmowy i dyskusje z członkami Związku Kombatantów RP i b. Więźniów Politycznych, z których wielu sprzeciwiało się obchodom 90-lecia. Bardziej otwarci byli członkowie Koła Byłych Studentów Polaków Politechniki Wolnego Miasta Gdańska. Oni w czasach komunistycznych doświadczyli, że Uczelnia, w której studiowali w okresie Wolnego Miasta Gdańska „przestała istnieć".

Szczególnie gorąca atmosfera i burzliwa dyskusja miała miejsce w dniu 23. marca 1994 r. w Sali Senatu, kiedy doc. Andrzej Januszajtis przedstawił swoje, odmienne od innych, spojrzenie na historię Politechniki Gdańskiej, a przede wszystkim na osoby związane z dawną Uczelnią. Dla wielu, trudno było przełamać dotychczasowy sposób myślenia i zapomnieć o doświadczeniach lat minionych.

Był jeszcze jeden problem zupełnie innej natury. Towarzystwo Przyjaciół Technische Hochschule Danzig (THD) w Hanowerze, które tworzą byli studenci Niemcy studiujący w Politechnice Wolnego Miasta Gdańska, nie uznawało Uczelni działającej po 1945 roku. Sprawa uznania była ważna z punktu widzenia mówienia o pełnej ciągłości Uczelni. Od dłuższego już czasu rozmowy z tym związane prowadził prof. Bolesław Mazurkiewicz, były Rektor PG. Zakończyły się one ostatecznie powodzeniem. Towarzystwo Przyjaciół THD proponowało rozszerzenie tablicy rektorów o osoby pełniące tę funkcję w latach 1904-1945. Sprawa tablicy spotkała się z ogromnym oporem znacznej części pracowników, a przede wszystkim członków ZKRP i byłych Więźniów Politycznych, paru członków Koła Byłych Studentów Polaków, niektórych wydziałów, a także obu związków zawodowych. W tej sytuacji sprawa ta została odłożona, gdyż brak akceptacji środowiska mógł stać się przyczyną załamania całego programu.

Przełomem w organizacji obchodów było przyjęcie przez Komitet Organizacyjny mojej propozycji ***połączenia obu rocznic w jedno wydarzenie****. Możliwość taką dawał fakt, że obie rocznice przypadają na ten sam rok akademicki, jeżeli obchodzić się będzie dzień wydania Dekretu. To pogodziło wszystkich i dawało możliwości różnego rozkładania akcentów. Podstawę do obchodów 90-lecia stanowił fakt* ***uniwersalnego znaczenia nauki i edukacji dla całej ludzkości****, bez względu na czas i miejsce, zaś podstawę obchodów 50-lecia stanowił fakt powołania większości obecnych wydziałów oraz możliwość dokonania* ***podsumowania półwiecznego dorobku pracowników i absolwentów Uczelni****. Rok akademicki 1994/1995 ogłoszony został przez Senat „Rokiem Jubileuszowym Politechniki Gdańskiej".*

Był jeszcze jeden niezwykle trudny moment. Kiedy już wszystko wydawało się być na dobrej drodze, kiedy Senat zatwierdził doktorat honoris causa dla prof. Adolfa Butenandta, kiedy omawialiśmy już tylko szczegóły wizyty gości z Niemiec, nastąpiło zaskakujące załamanie. Członkowie Towarzystwa Przyjaciół THD poinformowali mnie o swojej decyzji rezygnacji z przyjazdu na uroczystości. Co gorsza, również prof. Hans F. Zacher, prezydent Towarzystwa Maxa Plancka, który miał w imieniu doctora honoris causa odebrać doktorat, wyraził wątpliwości co do celowości przyjazdu. Odmówił też przyjazdu prof. Hinrich Seidel, prezydent Konferencji Rektorów Uczelni Europejskich, z którym wcześniej uzgodniłem przyjazd i wygłoszenie wykładu inauguracyjnego pt. „Uniwersalność nauki i edukacji oraz współpraca uczelni europejskich". Szczęśliwie, dzięki pomocy pracowników Konsulatu Niemieckiego w Gdańsku, a w szczególności pana Wolfganga Fischera, sprawa została wyjaśniona. Okazało się, że ktoś poinformował stronę niemiecką, że program obchodów uległ zasadniczej zmianie, która podważała sens obchodów 90-lecia Uczelni. Widziałem nawet to pismo. Przekazana informacja była oczywiście nieprawdziwa. Po starannych wyjaśnieniach, przedstawiciele Konsulatu uzgodnili przyjazd prof. Hansa F. Zachera. Natomiast mój list specjalny wysłany do prof. Richarda Elsnera, przewodniczącego Towarzystwa Przyjaciół THD, w którym wyjaśniłem „filozofię" obchodów, spowodował zmianę wcześniejszej decyzji. Niestety zabrakło już czasu dla prof. Hinricha Seidela.

Obchody Roku Jubileuszowego, z perspektywy minionego czasu, oceniam bardzo pozytywnie. Podsumowany został dorobek Politechniki Gdańskiej, z symbolicznym uznaniem okresu do 1945 roku. Przybliżonych zostało wiele nowych, mniej znanych lub dotąd nieznanych zdarzeń z historii Uczelni. Doszło do historycznego spotkania byłych studentów Polaków i Niemców, studiujących w Politechnice Wolnego Miasta Gdańska. Wielu absolwentów lat minionych, w tym odbudowujących i rozbudowujących Politechnikę ostatniego półwiecza, miało okazję do zapoznania się z obecną sytuacją i dorobkiem Uczelni. Pozostały trwałe ślady towarzyszące uroczystościom, dokumentujące znaczący dorobek naszej Alma Mater. Składają się na nie wystąpienia: rektora, promotorów i doktorów honoris causa, wspaniałe życzenia nadesłane przez Prezydenta RP Lecha Wałęsę, adresy gratulacyjne, w tym od premiera oraz marszałków Sejmu i Senatu, a przede wszystkim wiele opracowań, jak chociażby: „Politechnika Gdańska: wczoraj, dziś, jutro", „Politechnika Gdańska - 50 lat: wczoraj, dziś, jutro", oraz to co najcenniejsze - wspomnienia pracowników zawarte w czasopismach: „Z historii Politechniki Gdańskiej" i „Pismo PG".

Dorobek Roku Jubileuszowego Politechniki Gdańskiej jest niezwykle ważny. Dotyczy bowiem obchodów, które nigdy w przeszłości nie mogły zaistnieć. Nie sprzyjała temu sytuacja polityczna. Dopiero zmiany zapoczątkowane w 1989 r. w Polsce, które doprowadziły do upadku reżimu komunistycznego w Europie, a także obalenia muru berlińskiego dzielącego Europę, a wreszcie klimat polityczny wytworzony przez polityków tej miary, co: Roman Herzog, Richard von Weizsäcker, François Mitterand i Lech Wałęsa, dały nam możliwość zorganizowania takich obchodów po raz pierwszy.

Prof. Edmund Wittbrodt - Rektor

RYS HISTORYCZNY LABORATORIUM MASZYNOWEGO KATEDRY TECHNIKI CIEPLNEJ WYDZIAŁU MECHANICZNEGO POLITECHNIKI GDAŃSKIEJ 1945 - 1995

Historia Katedry Techniki Cieplnej od początku jej powstania w 1945 roku jest nierozłącznie związana z budynkiem Laboratorium Maszynowego, które przetrwało pożogę wojenną i ocalało od kompletnego zniszczenia. Jego wnętrza uległy dewastacji - pozostał tylko ciężki sprzęt maszynowy, bez aparatury laboratoryjnej, która została wywieziona jeszcze przed zakończeniem wojny. Budynek ten wchodził w skład niemieckiej Wyższej Szkoły Technicznej w Gdańsku, oddanej do użytku w 1904 roku. Projekt architektoniczno-budowlany całej Uczelni opracowany przez profesora Alberta Carstena zakładał, że Laboratorium Maszynowe będzie centralnym ośrodkiem dydaktyczno-naukowym i technicznym. W praktyce znaczyło to: wytwarzanie i dostarczanie dla potrzeb Uczelni energii cieplnej i elektrycznej, parowej oraz sprężonego powietrza i zasobów wodnych. W tak znakomicie zorganizowanych naturalnych warunkach laboratoryjnych przewidziane zostało szkolenie studentów - przyszłych inżynierów mechaników, elektryków i innych kierunków. **W 1945 roku budynek Laboratorium Maszynowego był z racji urzędowania w nim delegatury Ministerstwa Oświaty punktem dyspozycyjnym odbudowy Politechniki Gdańskiej i pierwszym centrum wytwarzania energii elektrycznej i cieplnej, także dla miasta i portu.**

Budynek Laboratorium Maszynowego o kubaturze około 14,5 tys. m^3 składał się z następujących i współdziałających pomieszczeń i urządzeń:

1. hala maszynowa o rozmiarach 38,62 m długości i 12 m szerokości, stanowiła powierzchnię użytkową wielkości 463,5 m^2.
2. pomieszczenie kotłowni przyległe do hali maszynowej o rozmiarach 29 m długości i 16 m szerokości, co stanowiło powierzchnię użytkową 464 m^2. W pomieszczeniu tym usytuowany został komin o prześwicie przyziemnym o średnicy 2 m i prześwicie górnym o średnicy 1,7 m. Wysokość komina wynosi-a 45 m nad powierzchnią ziemi. Wraz z kominem połączona była wodna wieża ciśnień, której zbiornik o pojemności 50 m^3 znajdował się na wysokości 32 m nad poziomem ziemi.
3. pomieszczenia dydaktyczno-biurowe i sanitarne połączone z główną halą maszynową od strony wschodniej, posiadały wymiar 37,5 m długości i 6 m szerokości, co stanowiło 225 m^2 pow. użytkowej.



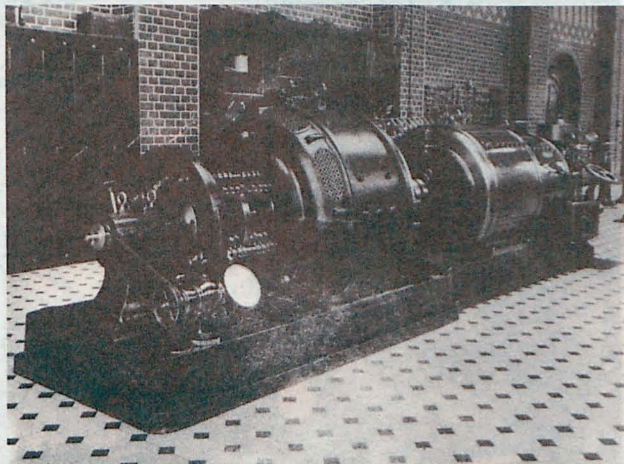
Laboratorium Maszynowe w roku 1904

Główna hala Laboratorium Maszynowego posiadała jak na ówczesne czasy wyjątkowe walory estetyczne i funkcjonalne. Wyposażenie jej przeznaczone było głównie do wytwarzania energii elektrycznej oraz na cele dydaktyczno-naukowe. Przewidywane całkowite zapotrzebowanie energii elektrycznej dla całej Uczelni wynosiło około 250 kW.

Największą pod względem rozmiarów i masy maszyną, jaka znajdowała się w hali laboratoryjnej, była leżąca maszyna parowa potrójnego rozprężania, 3-cylindrowa w układzie tandem dwóch cylindrów wysokiego i średniego ciśnienia, oraz w układzie compound z cylindrem niskiego ciśnienia. Pośrodku wału korbowego obok koła zamachowego zamontowana była prądnica elektryczna o napięciu 220 V i mocy 160 kW. Leżąca maszyna parowa posiadała prędkość obrotową 120 obr./min. i max. moc 260 KM.

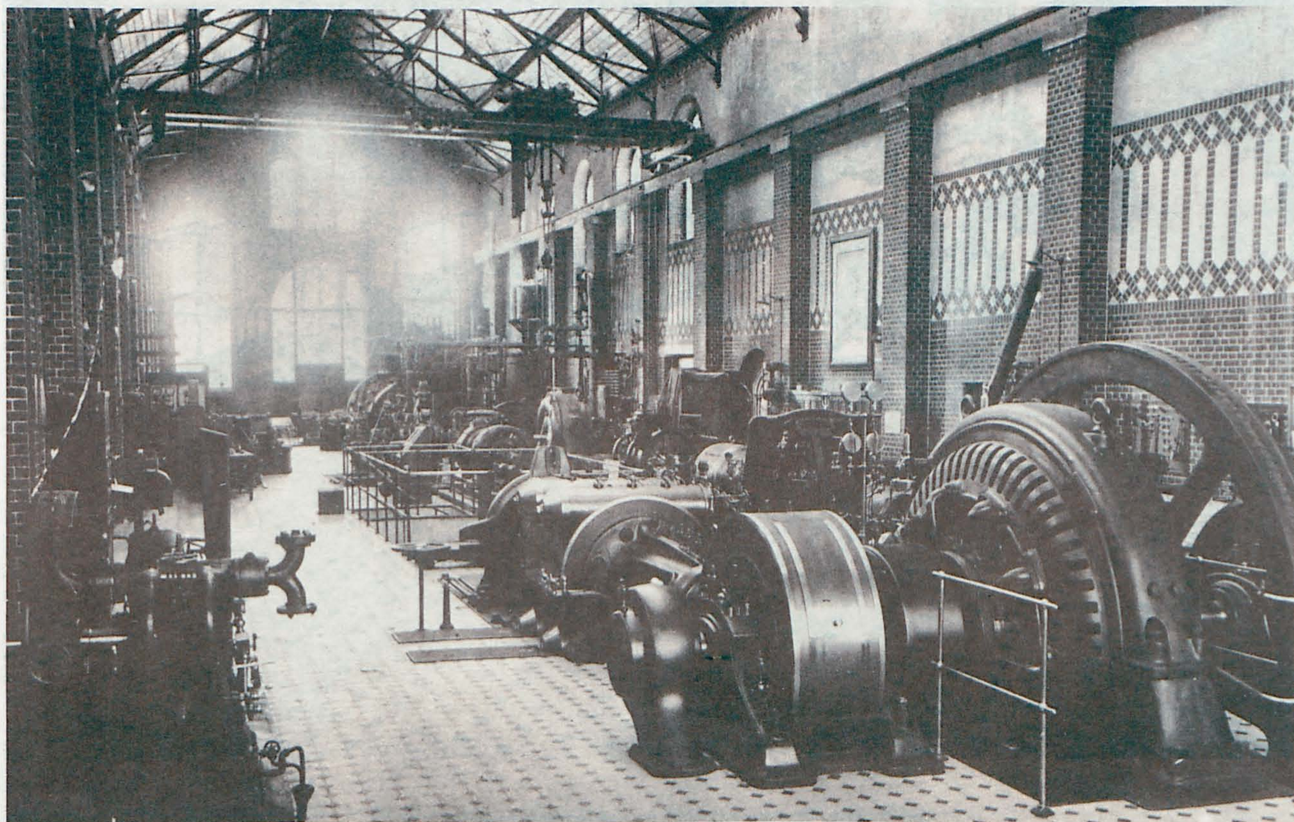
Drugim agregatem prądotwórczym była turbina parowa o mocy 200 KM i prędkości obrotowej 3000 obr./min. systemu Rateau, sprzężona na wspólny wał z prądnicą elektryczną o napięciu 220 V i mocy 150 kW. Ten zespół prądotwórczy budził duże zainteresowanie studiujących, ponieważ dawał możliwości wykorzystania turbin parowych, które w stosunku do tłokowych maszyn parowych, posiadały przyszłościowe rozwiązania dla energetyki i innych dziedzin napędów.

W nieprzewidzianych przypadkach awaryjnych lub konieczności remontowych, umieszczony był w podpiwniczeniach hali maszynowej duży zespół baterii akumulatorowych z możliwością uzyskania dodatkowej energii elektrycznej o mocy 130 kW w ciągu trzech godzin.



Laboratorium Maszynowe - turbina "Orlikon"

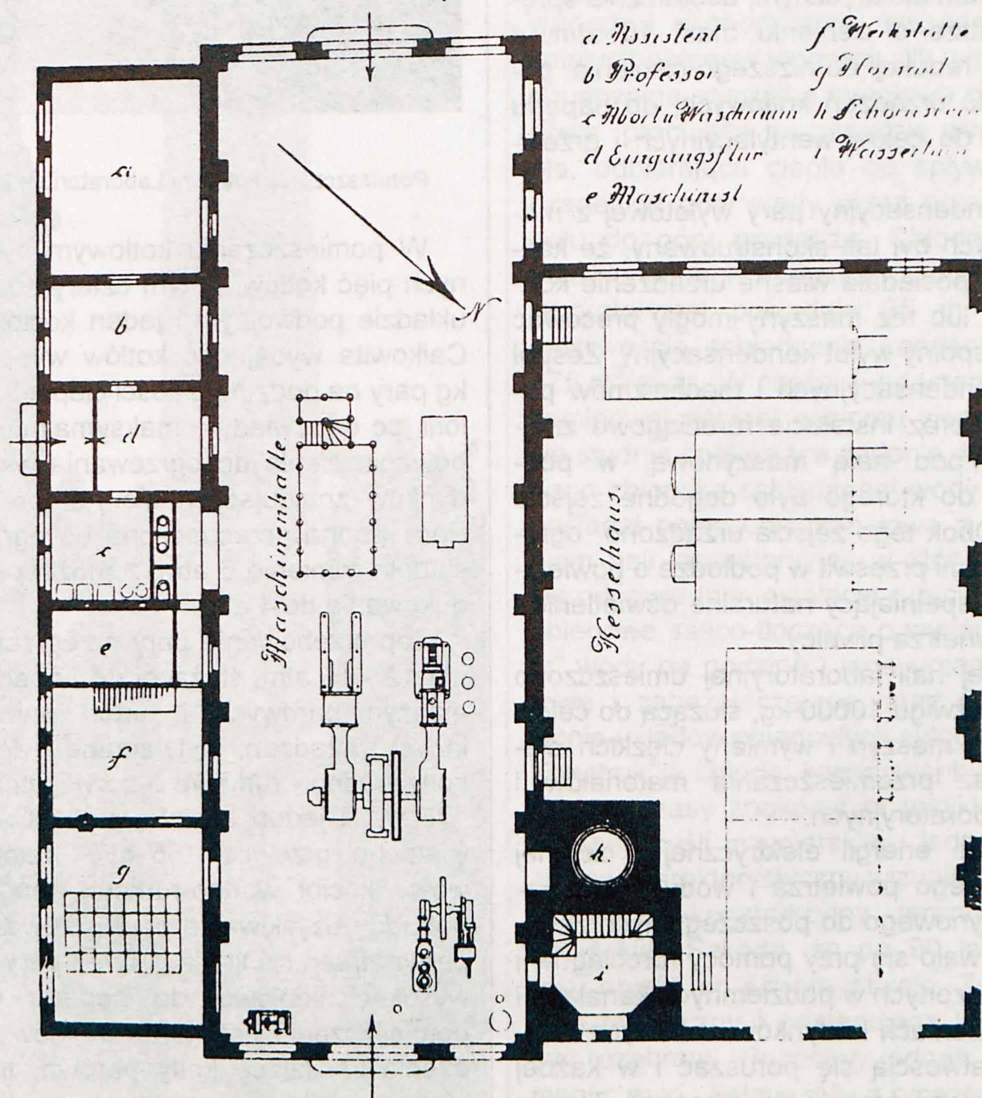
W bezpośredniej bliskości urządzeń prądotwórczych zainstalowane były elektryczne tablice rozdzielcze, wyposażone w precyzyjne przyrządy pomiarowe i urządzenia zabezpieczające, oraz odpowiednie przełączniki do sterowania energią elektryczną. Powyższe stanowiska prądotwórcze zabezpieczały całkowicie produkcję prądu dla całej Uczelni a jednoczenie stanowiły bogaty program zajęć laboratoryjno-badawczych dla mechaników i elektryków.



Wnętrze Laboratorium - widok na maszynę parową



Wnętrze hali Laboratorium Maszynowego, rok 1904



Plan parteru Laboratorium Maszynowego, rok 1904

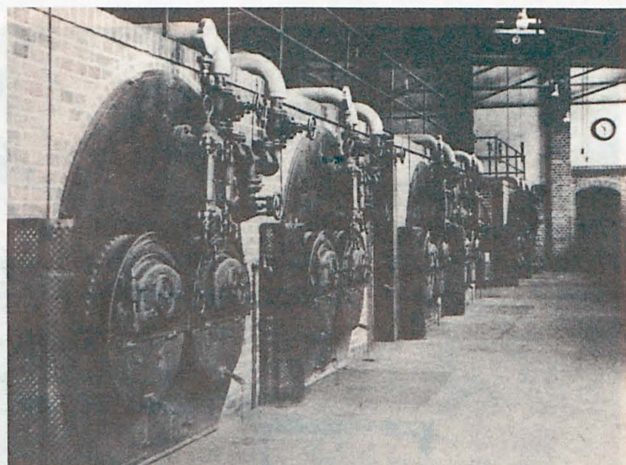
W hali laboratoryjnej ustawiona była również jednocylindrowa maszyna parowa o mocy 35 KM, napędzająca pompę wodną, która wspomagała dostarczenie wody pitnej i sanitarnej do budynków dydaktycznych i mieszkalnych położonych na terenie Uczelni. Dzienne zużycie wody wynosiło około 150 m ^{3}. Niezależnie od pompy zainstalowane były mniejsze wodne pompy nurnikowe.

Zainstalowana w hali sprężarka powietrzna o mocy 5 KM i obrotach 800 obr./min., napędzana silnikiem elektrycznym, dostarczała sprężone powietrze o ciśnieniu max. 10 atm. z możliwością redukcji do niższego ciśnienia, potrzebnego do urządzeń kotłowych, do napędu pomp, oraz do celów wentylacyjnych i grzewczych.

Układ kondensacyjny pary wylotowej z maszyn parowych był tak skonstruowany, że każda maszyna posiadała własne urządzenie kondensacyjne, lub też maszyny mogły pracować razem na wspólny wylot kondensacyjny. Zespół urządzeń kondensacyjnych i mechnizmów pomocniczych, oraz instalacje rurociągowe znajdowały się pod halą maszynową, w podpiwniczeniu do którego było dogodne zejście schodami. Obok tego zejścia urządzono ogrodzony relingami prześwit w podłodze o powierzchni 15 m ^{2}, spełniający naturalne oświetlenie i wentylację wnętrza piwnicy.

W głównej hali laboratoryjnej umieszczono suwnicę o udźwigu 10000 kg, służącą do celów remontowych maszyn i wymiany ciężkich elementów oraz przemieszczania materiałów i urządzeń laboratoryjnych.

Przesyłanie energii elektrycznej i cieplnej oraz sprężonego powietrza i wody z Laboratorium Maszynowego do poszczególnych zabudowań odbywało się przy pomocy rurociągów i kabli umieszczonych w podziemnych kanałach i w podpiwniczeniach budynków, w których można było z łatwością się poruszać i w każdej chwili dokonywać przeglądów i kontroli. Tunele i podpiwniczenia wyposażone były w oświelenie i ciągłą wentylację, spełniając wszystkie wymogi zdrowotne i bezpieczeństwa. W kanałach i podpiwniczeniach znajdująca się instalacja grzewcza, wodna, kondensacyjna i sprężonego powietrza, posiadała łączną długość około 21 tys. metrów rur o różnych przekrojach, natomiast instalacja elektryczna - oświetleniowa i siłowa składała się z różnych przewodów miedzianych o przekrojach od $1 \div 400$ mm^2 i wynosiła łącznie 95 tys. metrów długości. Ogólna ilość lamp oświetleniowych różnych rodzajów i wielkości wynosiła 290 tys. sztuk.



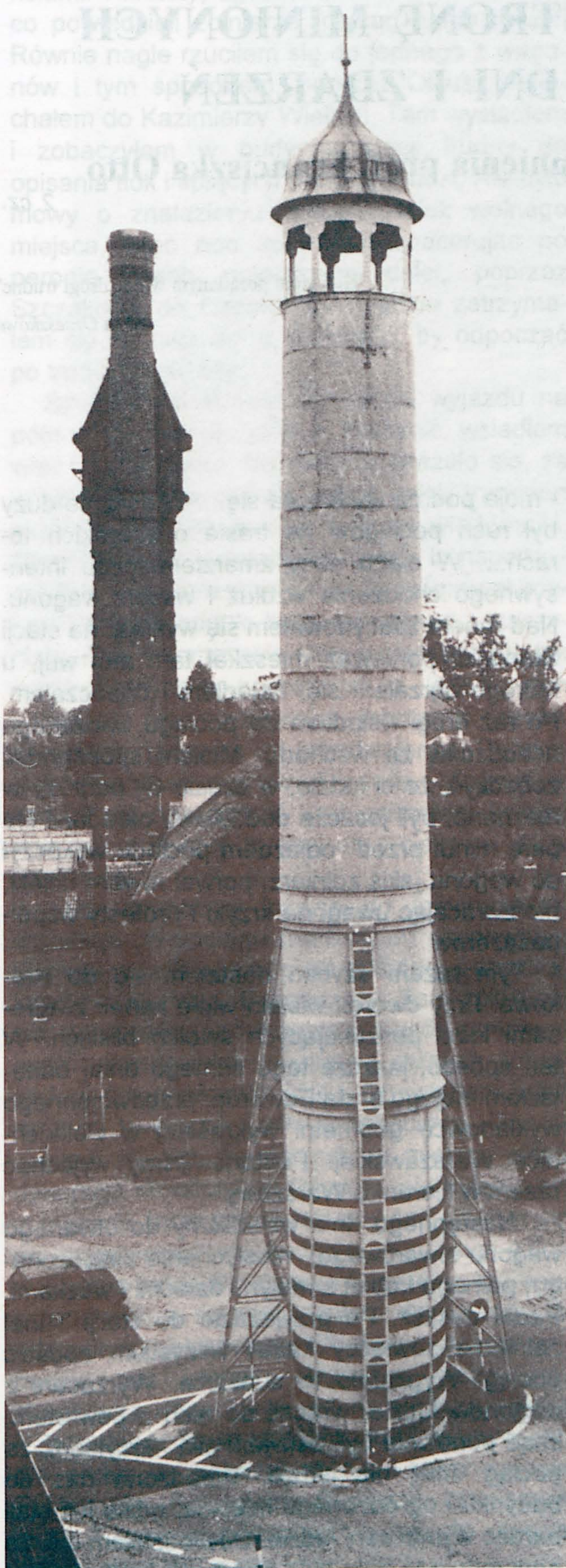
Pomieszczenie kotłowni Laboratorium Maszynowego

W pomieszczeniu kotłowym było ustawionych pięć kotłów, w tym cztery kotły parowe w układzie podwójnym i jeden kocioł rezerwowy. Całkowita wydajność kotłów wynosiła 10 000 kg pary na godzinę o ilości ciepła 5 000 000 kalorii, co odpowiadało maksymalnemu zapotrzebowaniu ciepła do ogrzewania wszystkich budynków znajdujących się na terenie Uczelni. Para wodna przeznaczona do ogrzewania posiadała ciśnienie 6 atm, z możliwością jego redukowania do 4 atm.

Zapotrzebowanie pary przegrzanej o ciśnieniu 12 - 15 atm, służącej do napędu tłokowych maszyn parowych i turbin parowych, oraz innych urządzeń, wytwarzane było przez dwa kotły wodno - rurkowe o powierzchni grzewczej 175 m^2, i jeden kocioł płomieniówkowy o powierzchni grzewczej 65 m^2, natomiast rezerwowy kocioł wodno-rurkowy mógł zaspokoić potrzebę uzyskiwania pary grzewczej o niskich parametrach ciśnienia. lub też pary przegrzanej wysokociśnieniowej do napędu maszyn. W pomieszczeniu kotłowym znajdowały się urządzenia zasilające kotły parowe, tj.: inżektory, pompy zasilające o napędzie elektrycznym i parowym itp. Woda zasilająca kotły była pobierana z miejskich lub własnych instalacji wodnych, oraz filtrowana i wstępnie podgrzewana.

Węgiel jako paliwo kotłowe był wstępnie magazynowany na wydzielonym składowisku placowym, a następnie transportowany do kotowni przy pomocy specjalnych wagoników poruszających się po wąskotorowej kolejce szynowej. Spalanie paliwa w kotłach mogło być intensywne lub spowolnione w zależności od potrzeby, służyły do tego celu urządzenia regulacyjne.

Całość kotłowni przystosowna była do kompleksowych pomiarów laboratoryjnych określających gospodarkę cieplną i straty powodowane przez różne urządzenia kotłowe. Zajęcia dydaktyczne odbywały się w kotłowni i na odpowiednich wysokościach komina z całkowitym zachowaniem bezpieczeństwa, oraz pod odpowiednią kontrolą pedagogiczną.


Chłodnia kominowa i komin z wodną wieżą ciśnień

W procesie kondensacji pary wodnej i schładzania kondensatu, konieczny był wymuszony obieg wody chłodzącej i odpowiednio do tego przystosowane instalacje, urządzenia i mechanizmy. Bezpośrednie takie schładzanie wymagało dużej ilości wody pobieranej z sieci miejskiej, lub też ze specjalnie przystosowanych i ekonomicznie uzasadnionych zamkniętych obiegów wodnych. W tym celu została zbudowana specjalna metalowa chłodnia kominowa, pracująca na zasadzie wymiennika ciepła, odbierająca ciepło od spływającej i zraszanej od góry wody przez przepływające od dołu do góry powietrze. Chłodnia kominowa ustawiona obok budynku na przedłużeniu hali laboratoryjnej posiadała 35 m wysokości z możliwością schładzania kondensatu w ilości 175 m^3/godz. W części fundamentowej chłodni kominowej poniżej poziomu ziemi, znajdowała się studnia spełniająca zadanie dużego naturalnego zbiornika schłodzonej wody. Zbiornik ten posiadał połączenie kanałowe z podpiwniczeniem hali laboratoryjnej, w którym znajdowały się odpowiednie instalacje ruruciągowe, pompy obiegowe ssąco-tłoczące o wydajności 60 i 90 m^3 wody na godzinę i inne urządzenia pomiarowe i zabezpieczające, oraz centrale sterowania układów obiegowych chłodzenia. Konstrukcja chłodni kominowej była jak na ówczesne czasy znakomitym przykładem ekonomicznej myśli inżynierskiej i jednocześnie stanowiła charakterystyczny wizualny motyw architektoniczno-konstrukcyjny terenu Politechniki Gdańskiej. Szkoda, że po 90 latach w 1994 roku obiekt ten już nie istnieje. Ze względu na stan techniczny i postępującą korozję, musiał być rozebrany. Pozostały jednak niektóre fragmenty: m.in.: hełm wieży z prześwitem deflektora górnej części kominowej, część zespołu zraszalnika z półkami chłodniczymi z aluminiowej blachy perforowanej oraz kamienne elementy fundamentów, które uznano jako zabytek i eksponowane w widocznym miejscu dla przechodnia, w pobliżu budynku Katedry Techniki Cieplnej.

Edward Gill

współpraca: **Andrzej Wróblewski**



W STRONĘ MINIONYCH DNI I ZDARZEŃ

wspomnienia prof. Franciszka Otto

2. cz.

"Ku celom pożądanym wiodą drogi trudne"

Eliza Orzeszkowa

Droga mojego wyjazdu ze Lwowa do Gdańska prowadziła przez Szymbark do Tarnowa, gdzie zatrzymałem się u kolegi Stanisława Szymborskiego. Był grudzień 1944 roku. W połowie stycznia 1945 roku, po spokojnym przejściu frontu, zdecydowałem się wraz z innymi zapaleńcami na wyjazd do Lublina. Tam zgłosiłem się do Departamentu Szkół Wyższych w Ministerstwie Oświaty. Kierował nim prof. Wacław Raabe, któremu zaproponowałem utworzenie delegatury, koniecznej dla zabezpieczenia Politechniki Gdańskiej. 30 stycznia 1945 roku otrzymałem stosowny dokument i rozkaz wyjazdu. Równocześnie ze mną taki dokument otrzymał prof. Juliusz Rudnicki - wykładowca matematyki Uniwersytetu im. Stefana Batorego w Wilnie. Niestety, z uwagi na podeszły wiek i postępującą chorobę, profesor jak się później okazało, nie dotarł do Gdańska. Ponieważ front zatrzymał się pod Grudziądzem, postanowiłem wrócić do Tarnowa.

W drugiej połowie marca zdecydowałem się zbliżyć do frontu na północy kraju. W tym czasie była już zmieniona szerokość torów linii kolejowej ze wschodu na Śląsk. Kursowały wagony i całe składy towarowe: puste na zachód, a pełne łupów na wschód. Rzadko zaś przyjeżdżały pociągi z uchodźcami, ludźmi wypędzonymi z naszych, wschodnich województw. Postanowiłem wsiąść do takiego pociągu towarowego naiwnie sądząc, że w ciągu dwóch godzin dostanę się do Krakowa. Wyruszyłem po południu, zajmując "miejsce" w otwartym wagonie towarowym, ze wschodnim śniegiem pod nogami. Było zimno. Pociąg zatrzymał się po przejechaniu kilku kilometrów, po czym ruszył dalej, znowu się zatrzymał i znowu ruszył - moja podróż wydłużała się.... Widocznie duży był ruch pociągów na trasie o szerokich torach.... W ciągu nocy zmarzłem mimo intensywnego chodzenia wzdłuż i wszerz wagonu. Nad ranem zdecydowałem się wysiąść na stacji Staniątki, ponieważ mieszkał tam mój wuj, u którego ogrzałem się, najadłem i odpocząłem. Po raz drugi wsiadłem do pociągu, wiozącego uchodźców ze wschodu. Miałem sposobność zobaczyć, że ci ludzie, w czasie tej podróży w nieznane, byli jeszcze dodatkowo okradani! Na parę minut przed odjazdem pociągu wskoczył do wagonu jakiś żołnierz, porwał rower i uciekł, nie zwracając uwagi na krzyki i protesty współpasażerów.

Tym razem szybko dostałem się do Krakowa. Przy dworcu wisiało wiele kartek z adresami ludzi poszukujących swoich bliskich. W ten sposób, jeszcze tego samego dnia, odnalazłem mojego brata Edwarda, przedwojennego wykładowcę geometrii wykreślnej w Politechnice Warszawskiej. Postanowiliśmy wyjechać razem w kierunku Warszawy

Następnego dnia wsiedliśmy do otwartego wagonu towarowego, niesłychanie zatłoczonego, pełnego kobiet z małymi dziećmi i wózkami. Padał deszcz. Po przyjeździe do stacji Tunel żołnierze sowieccy kazali wszystkim opuścić pociąg. Wyglądało to strasznie. Wyrzucani z wagonów ludzie, wracali do nich z powrotem, skąd ponownie byli usuwani siłą i krzykiem, że pociąg dalej nie jedzie. Wpędzono nas do budynku i ogrodzonego miejsca, gdzie już stali bardzo wymęczeni ludzie. Dowiedziałem się, że poprzedniego dnia było podobnie: wszystkich z pociągu wyrzucono, a mężczyzn zagoniono do odkopywania zasypanego tunelu, obiecując w

zamian wyjazd następnego dnia. Udało mi się zmylić straże sowieckie - przeszedłem pod wagonami "mojego" pociągu i ukryłem się za kołami. Niestety, zgubiłem brata. Wbrew temu co powiedzieli żołnierze, pociąg nagle ruszył. Równie nagle rzuciłem się do jednego z wagonów i tym sposobem, poprzez Olkusz, dojechałem do Kazimierzy Wielkiej. Tam wysiadłem i zobaczyłem w budynku stacji trudny do opisania tłok i śpiących wszędzie ludzi. Nie było mowy o znalezieniu jakiegokolwiek wolnego miejsca, więc noc spędziłem spacerując po peronie. Rano pojechałem dalej, poprzez Szczakową do Częstochowy, gdzie zatrzymałem się na dwa dni u krewnych, by odpocząć po trudach podróży.

Szukałem dalszych możliwości wyjazdu na północ. Był pociąg tylko do Karsznic, wsiadłem więc i pojechałem. Na miejscu okazało się, że w kierunku Inowrocławia jedzie polski transport wojskowy. Ucieszyła mnie ta dobra wiadomość. Niestety, jak powiedział kierownik transportu - cywilów nie zabierano - taki obowiązywał rozkaz. Poradził jednak, by porozmawiać z maszynistą. Przy lokomotywie stało dwóch panów, tak samo chętnych do podróży jak ja. Jeden z nich okazał się moim znajomym, jeszcze z czasów lwowskich, jadącym do przedwojennej Dyrekcji Kolei Państwowych w Tczewie. Maszynista zgodził się nas zabrać i tak zacząłem kolejny etap mojej długiej, trudnej ale i ciekawej drogi do Gdańska.

Po całonocnej jeździe do Inowrocławia, wsiadłem do pociągu (nareszcie!) osobowego, ku mojemu zdziwieniu dość pustego, odjeżdżającego w kierunku Bydgoszczy. Tam zgłosiłem się do punktu zaopatrzenia dla osób skierowanych z ministerstw do objęcia różnych stanowisk w odzyskiwanym kraju. Otrzymałem przydział na kwaterę i kartki żywnościowe. Dowiedziałem się też, że jest już na miejscu jedna delegacja Ministerstwa Oświaty, ale byłem zbyt zmęczony, by kogokolwiek szukać i udałem się na przydzieloną mi kwaterę. Na drugi dzień wskazano mi dr. Stanisława Turskiego, któremu przedstawiłem się i pokazałem dokumenty. W odpowiedzi usłyszałem: "Chętnie pana widzę - będzie nas więcej". Poznałem także: inż. Kazimierza Kopeckiego, dr. Kazimierza Kubika i Stanisława Szymańskiego, oddelegowanych d/s przejęcia, zabezpieczenia i uruchomienia Politechniki Gdańskiej. Pozostali członkowie ekipy Turskiego przeznaczeni byli do objęcia innych obiektów w mieście

Dr Stanisław Turski miał stały kontakt z majorem Alsterem, który jako łącznik, na bieżąco był informowany przez dowództwo II Frontu Białoruskiego o sytuacji w Gdańsku. A wiadomości przychodziły złe: "Miasto jest bombardowane i płonie. Nie macie po co jechać". Pozostało zatem czekać z obawą i żalem - co da się uratować? Po kilku dniach dowiedzieliśmy się, że Gdańsk został zajęty. Było to 30 marca. 2 kwietnia wyruszyliśmy pociągiem do Gdańska, ale dojechaliśmy tylko do Warlubia, bo dalej droga była zaminowana. Wróciliśmy więc do Bydgoszczy, skąd 4 kwietnia, wyjechaliśmy ponownie, tym razem ciężarówką.

Droga był trudna. Małe drzewa i słupy telefoniczne były już usunięte do rowów, ale duże drzewa oraz ciężkie betonowe zapory przeciwczołgowe trzeba było omijać, wyjeżdżając na pole. Zdarzały się też inne przeszkody, np. czołgi leżące na drodze. Późnym wieczorem wjechaliśmy do Tczewa. Miasto było ciemne, ponieważ obowiązywało zaciemnienie. Udało się nam znaleźć całkiem wygodny nocleg u kilku mieszkańców, a na drugi dzień wyruszyliśmy ponownie w drogę. Pojawiła się nowa przeszkoda: liczne punkty kontrolne, obsługiwane przez sowieckich żołnierzy, którzy legitymowali, sprawdzali i decydowali o tym kogo przepuścić, a kogo zatrzymać. Nasze dokumenty były w porządku, zatem powoli, acz konsekwentnie, zbliżaliśmy się do miejsca przeznaczenia.

Tuż przed Gdańskiem nie chciano nas dalej przepuścić, z powodu toczących się jeszcze walk we wschodnich częściach miasta. Musieliśmy przyrzec, że nie zatrzymamy się w Gdańsku, tylko pojedziemy dalej, do Wrzeszcza bądź Oliwy. Przejeżdżając, widzieliśmy nie zniszczony dworzec kolejowy, wieże kościołów bez hełmów, bo były spalone i wiele innych śladów toczących się walk.

W czasie krótkiego postoju we Wrzeszczu, zdecydowaliśmy się razem z Kazimierzem Kopeckim wrócić do Politechniki, by zobaczyć jaka jest sytuacja. Było pochmurne popołudnie, pamiętnego 5 kwietnia 1945 roku, gdy przekraczaliśmy rozbitą bramę Politechniki. Pomyślałem wtedy, że **oto stoję przed celem mojej podróży.**

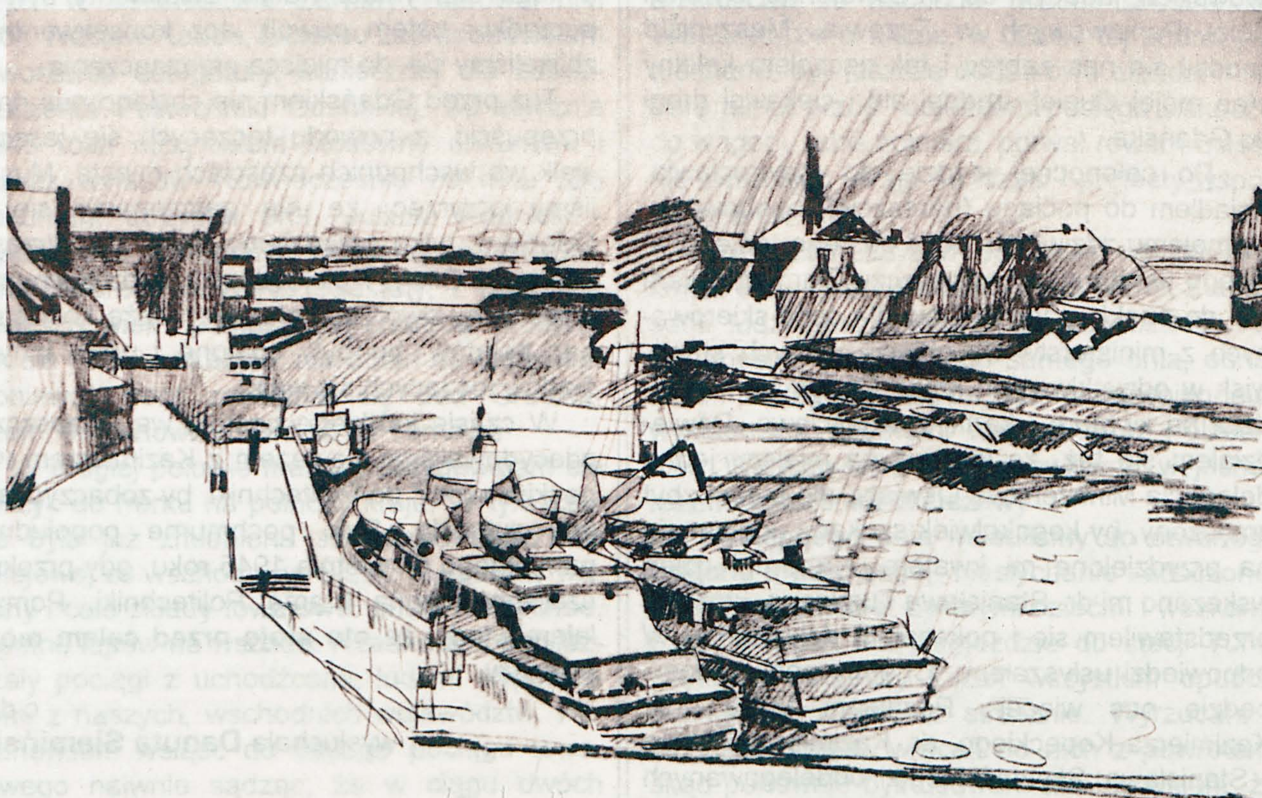
c.d.n.

wysłuchała **Danuta Siemińska**





Kazimierz Śramkiewicz
Uliczka w Grodzisku Wielkopolskim, 1936, linoryt



Kazimierz Śramkiewicz *Przystań w Gdańsku, 1965, ołówek*



Ostatnia rozmowa z Profesorem

Poniższa rozmowa miała miejsce w ostatnim okresie życia prof. dr. Kazimierza Kopeckiego (1904 - 1984). Wypowiedzi profesora do dzisiaj są aktualne, zwłaszcza w Roku Jubileuszowym Politechniki Gdańskiej.

Danuta Siemińska: *Panie Profesorze! Studiował Pan na Wydziale Mechaniczno-Elektrycznym Politechniki Lwowskiej w okresie budowania nowoczesnej, systemowej gospodarki elektroenergetycznej, której potrzebni byli młodzi, wykształceni specjaliści - inżynierowie elektrycy. Czy te właśnie względy zadecydowały o wyborze kierunku studiów?*

Kazimierz Kopecki: Nie tylko. W latach dwudziestych elektrotechnika uchodziła za przedmiot o wysokim stopniu trudności. Tylko nielicznym udawało się ukończyć studia w wyznaczonym terminie, zaś doktoraty, niezwykle zresztą rzadkie, obejmowały najczęściej dziedziny pokrewne, np. elektrochemię. Ja natomiast, jeszcze w szkole średniej, po okresie niepowodzeń z matematyki i fizyki, dostałem się „w ręce" znakomitego nauczyciela, który sprawił, że na świadectwie maturalnym miałem z tych przedmiotów oceny celujące. Potrafił także rozbudzić we mnie ambicję. Uznałem więc, że wybór tak zwanego „łatwego kierunku" w ogóle nie wchodzi w rachubę i dlatego zdecydowałem się na taki, o którym sądziłem, że da mi możliwość wykazania się. Dziś uważam za szczęście fakt, że mogłem studiować u najlepszych. Tacy wykładowcy jak Stefan Banach, Maksymilian T. Huber, Antoni Plamitzer czy Antoni Łomnicki, to były wówczas niekwestionowane autorytety i sławy. Bardzo dużo im zawdzięczam.

D.S.: *Z jakimi perspektywami rozpoczynał Pan Profesor swój start życiowy?*

K.K.:Jeszcze przed ukończeniem studiów zostałem asystentem znakomitego profesora Kazimierza Idaszewskiego, który obdarzył mnie sporym zaufaniem, powierzając w krótkim czasie kierownictwo laboratorium maszynowego. Pewnego dnia przyniósł mi Profesor list od pana Alfonsa Hoffmana - dyrektora Pomorskiej Elektrowni Krajowej „Gródek" z siedzibą w Toruniu. Otóż w tym liście zawiadamiał on o nieoczekiwanie wolnym miejscu na stanowisko dyrektora do spraw technicznych, prosząc jednocześnie Idaszewskiego o przysłanie mu kogoś odpowiedzialnego. Natychmiast! No i usłyszałem: *Panie Kopecki! Wprawdzie robię jak ostatni idiota, który ucina sobię rekę, ale przecież nie mogę Hoffmanowi posłać byle kogo. Niech pan zaraz pisze list, że się zgadza.* Cóż było robić? Napisałem, chociaż w skrytości ducha uważałem, że zadanie to przerasta daleko moje możliwości. Nie miałem przecież żadnego doświadczenia w pracy wielkiego przedsiębiorstwa elektrycznego. Dość wspomnieć, że wówczas „Gródek" budował pierwsze w naszym kraju linie przesyłowe najwyższych napięć, a także elektrownie wodne i cieplne na całym obszarze północnej Polski - od Włocławka aż po Hel.

Początki okazały się dla mnie niezwykle trudne. Hoffman był niesłychanie wymagający i dokładny. Wszędzie zajrzał, każdą czynność skontrolował tak, że niemożliwe były jakiekolwiek braki. Dał mi okropną szkołę! Okropną! I nieraz jeszcze nawymyślał, a jakże.

D.S.: *Później nie było chyba już tak ciężko?*

K.K.: No, jakoś się tam utrzymałem! Do mnie należały wszystkie zagadnienia związane z elektryfikacją Pomorza. Opracowałem wówczas pierwszą w Polsce taryfę tzw. „uniwersalną", będącą rozszerzeniem taryf dwuczłonowych,

która miała złamać dotychczasowe monopole elektrowni, stawiających odbiorcom energii spore ograniczenia.

Czyniąc zadość żądaniom Hoffmana, który zobowiązywał młodych pracowników do pracy naukowej i publikacji, byłem przez niego wysyłany na rozmaite zjazdy i konferencje międzynarodowe - już jako specjalista. Dzięki tym wyjazdom poznałem elektroenergetykę Francji, Szwecji i Niemiec. Później okazało się, że Niemcy dobrze mnie sobie zapamiętali i usiłowali podczas okupacji wciągnąć do współpracy. Naturalnie bez rezultatu!

D.S.: *Czy lata wojny i okupacji oznaczały dla Pana przerwanie działalności zawodowej?*

K.K.: Ależ skąd! Po powrocie z obozu zgłosiłem się do elektrowni warszawskiej, ale tam funkcjonował już zarząd niemiecki, co naturalnie przekreślało szansę zatrudnienia mnie, bez wyjaśniania kim jestem. A wiedziałem, od przypadkowo spotkanego znajomego, że nazwisko moje umieszczono na liście poszukiwanych przez Niemców wrogów III Rzeszy.... Postanowiłem więc dotrzeć do Krakowa. Szczęśliwym dla mnie zbiegiem okoliczności dyrektorem tamtejszej elektrowni okazał się mój dawny kolega z Torunia, który zaangażował mnie w charakterze ... robotnika do węgla. Musiałem przecież mieć świadectwo pracy. Dzięki staraniom kolegów z konspiracji, przeniesiono mnie wkrótce do działu odbiorców, powierzając urzędy i mieszkania niemieckie, stanowiące wówczas cenne źródło informacji. Konspiracyjny zespół, jakim wtedy kierowałem, zajmował się opracowaniem na okres powojenny, po klęsce Niemiec, co do której wszyscy byliśmy pewni, materiałów dotyczących berlińskiego i wschodnioniemieckiego systemu energetycznego. Przewidywano, że odbudowa zniszczonej gospodarki polskiej będzie wymagała ogromnych ilości energii elektrycznej i dlatego należało opracować podstawy organizacyjne przejętych mocy energetycznych. Ponieważ dość dobrze znałem organizację systemów niemieckich, mogłem w najdrobniejszych nawet szczegółach, np. dotyczących obsadzania poszczególnych stanowisk, wykonać powierzone mi zadanie.

Kiedy zorientowaliśmy się, że nie będzie tak jak zakładano, odstąpiliśmy od naszych planów, uznając słuszność powziętych decyzji i dzisiaj te szczegóły naszej działalności konspiracyjnej mają tylko historyczne już znaczenie.

D.S.: *A jakie były powody, dla których zdecydował się Pan Profesor na dołączenie do ekipy Stanisława Turskiego i wyjazd do Gdańska?*

K.K.: Tuż po wyzwoleniu Krakowa, kiedy nie tylko ja zadawałem sobie pytanie: co robić dalej? nieoczekiwanie zaproponowano mi udział w przygotowywanej przez Turskiego wyprawie do Gdańska. Stanisław Turski był wówczas pełnomocnikiem Ministra Oświaty dr. Stanisława Skrzeszewskiego i jego zadaniem było zorganizowanie grupy specjalistów, którzy zajęliby się przejęciem i odbudowaniem nauki polskiej w Gdańsku. Brakowało mu jednak kogoś, kto by znał się na elektryczności, wszystkich tych korkach i bezpiecznikach. Zgodziłem się więc, z jednym wszakże zastrzeżeniem, że będę miał całkowitą swobodę działania! Nie widzę przeszkód - odparł mi na to Turski i tak zaczęła się nasza znajomość, która z miejsca zmieniła się w serdeczną obopólną przyjaźń.

Był jeszcze jeden powód, dla którego zdecydowałem się na wyjazd do Gdańska. Najzupełniej prywatny. Moim życiowym marzeniem było zamieszkanie w Oliwie. Zajmując się elektryfikacją Gdyni, wolne chwile spędzałem zawsze w Gdańsku. Bardzo przywiązałem się do tego miasta, a Oliwa szczególnie mnie pociągała. Ponadto, byłem doskonale zorientowany w systemie energetycznym Gdańska z czasów jeszcze przedwojennych. Pamiętam, że Hoffman chciał koniecznie, bym w charakterze prywatnego docenta Politechniki Gdańskiej wykładał gospodarkę elektroenergetyczną. Odmówiono mi oczywiście, oświadczając, że żaden Polak nie śmie być nawet asystentem na Politechnice, a cóż dopiero wykładowcą! Dlatego nigdzie indziej bym nie poszedł, ale na Gdańsk zdecydowałem się od razu.

D.S.: *Zrozumiałe, że podróż w tamtych miesiącach 1945 roku nie mogła być ani wygodna, ani bezpieczna ...*

K.K.: Przede wszystkim: jechaliśmy czym się dało i jak się dało. Bez pieniędzy i bez broni. Najczęściej głodno i chłodno. Z niepewnością, podszytą ciekawością - co też w tym Gdańsku zastaniemy i kiedy będziemy mogli tam wjechać?

Do kolejnych miast docieraliśmy tuż za przesuwającą się linią frontu. Nieco dłuższy pobyt wypadł nam w Bydgoszczy, w której czas oczekiwania skracaliśmy sobie wymyślaniem nowych polskich nazw ulic Gdańska. Nazwałem wówczas dwie: Baszty Stągiewne i Stągwi Mlecznych*). Nazwy te utrzymały się do dnia dzisiejszego, co zawsze, ilekroć o tym wspomnę napawa mnie szczególnego rodzaju radością.

D.S.: *Widok, jaki przedstawiał Gdańsk tuż*

po wyzwoleniu, boleśnie chyba burzył nadzieje i plany dotyczące szybkiego uruchomienia Politechniki?

K.K.: Wjechaliśmy do miasta, które jeszcze płonęło. Jak okiem sięgnąć - ruiny i zgliszcza oraz cuchnące, rozkładające się już trupy. Przerażający ogromem zniszczeń widok. Budynki dawnej Politechniki były w znacznej części poważnie zniszczone. W wyniku pożaru spłonął cenny księgozbiór. Nie było aparatury i precyzyjnych instrumentów, które na przełomie lat 1944 i 1945 zostały wywiezione do Celle i Schmalkalden w Niemczech, gdzie zamierzano uruchomić zastępczą politechnikę. Mimo tego stanu, nikt z nas - członków delegatury, ani przez moment nie wątpił co do celowości naszych zamierzeń i przyjętych zobowiązań.

D.S.: *Wbrew trudnościom i rozpowszechnianej dość szeroko opinii, że Politechniki nie da się w najbliższych latach odbudować....*

K.K.: O, pogląd ten miał znacznie szersze podłoże. Wywodził się on z ... niewiary w przyszłość Gdańska nie tylko jako organizmu miejskiego, ale też jako silnego ośrodka przemysłu stoczniowego. To prawda! Baza przedstawiała się fatalnie: port i stocznie zniszczone. Brakowało ludzi i sprzętu. Ale, czyż można było rezygnować z odbudowy miasta, które przez tyle wieków było nasze, polskie? Nie czekając zatem na formalne uchwały, przystąpiliśmy do wstępnych prac nad odbudową Uczelni. Z każdym dniem przybywało coraz więcej robotników - repatriantów oraz chętnej do pracy i nauki młodzieży. Toteż z ogromną radością przywitaliśmy wydany przez rząd dekret powołujący Politechnikę Gdańską i pierwszy w dziejach naszego szkolnictwa Wydział Budowy Okrętów.

D.S.: *Panie Profesorze! Krąży o Panu anegdota, że w swoim czasie był Pan prawnym właścicielem wszystkich ocalałych z działań wojennych zabudowań i wyposażenia Politechniki.*

K.K.: Jak w każdej anegdocie, trochę w niej prawdy! Prawdą jest jednak, że poproszono mnie, bym podjął się uruchomienia elektrowni w Politechnice. Miasto pogrążone było w ciemnościach, działały tylko małe agregaty polowe, a elektryczność okazała się niezbędna także i do odpompowania wody z zatopionej, jedynej elektrowni gdańskiej - Ołowianki. Cały problem polegał na tym, że potrzebny był prąd zmienny wysokiego napięcia, a myśmy dysponowali dwoma dieselami na prąd stały. Gdyby nie pomoc ówczesnej ekipy energetycznej pod kierunkiem mojego przyjaciela Jana Piaseckiego, to nie byłbym w stanie pomyślnie wykonać tej pracy.

Kiedy ta zaimprowizowana elektrownia zaczęła już działać, zwróciłem się do radzieckich władz miasta z prośbą o przekazanie mi, ze względów organizacyjnych, do mojej wyłącznej dyspozycji tejże elektrowni. Wydelegowano więc pułkownika, który miał spisać akt przejęcia. Ponieważ spotkanie nasze upływało w bardzo swobodnej i przyjemnej atmosferze - ośmieliłem się stwierdzić, że nie będę mógł prowadzić elektrowni, nie mając do dyspozycji całego laboratorium maszynowego, całego laboratorium elektrotechnicznego i całego laboratorium chemicznego. I w ten oto sposób otrzymałem pismo przekazujące mi - jako przedstawicielowi rządu - całą Politechnikę Gdańską. Jednak słowo „własność" nie było w nim użyte! Miałem jedynie prawo dysponowania a nie własności! Pismo to stanowiło wówczas jedyną ochronę prawną resztek zasobów Politechniki i dość skutecznie „broniło" naszego szczupłego stanu posiadania.

D.S.: *Czy przypomina Pan sobie, Profesorze, pierwszy w historii powojennej Politechniki egzamin dyplomowy?*

K.K.: Naturalnie! Bardzo dobrze go pamiętam, ponieważ przeprowadzony był pod moim kierownictwem, w obecności samego prezydenta Bolesława Bieruta. W pewnym momencie prezydent zapytał mnie: *„Jak wam się tu żyło"?* No cóż - odparłem - schudliśmy po tych parę kilo, więcej aniżeli podczas okupacji, pieniędzy nie mamy, bo nie jesteśmy opłacani, ale co możemy, to robimy. A prezydent mi na to: *„Ojczyzna nigdy wam tego nie zapomni ..."*

To nie jest skończona rozmowa ... Tak jak nie można było uznać za skończone - żadnej z tych rozmów, jakie prowadziłam z Profesorem w ostatnich miesiącach Jego życia.

Danuta Siemińska

[*] Dzisiejsza ulica Stągiewna.





SPOTKANIE Z GDAŃSKIEM

Ur. 15 lutego 1920 r. we Lwowie. Matura w 1938 r. W niepodległościowej konspiracji harcerskiej (w ramach SZP) od października 1939 r. Studia na Wydziale Architektonicznym Politechniki Gdańskiej od 1946r. do 1947 r., dyplom w 1947 r. na tymże Wydziale. Nauczyciel akademicki w Katedrze Urbanistyki PG (u prof. W. Czernego) od 1947 r. Docent w latach 1978-1989, profesor od 1989. Z-ca dyrektora Instytutu Arch. i Urb. PG w latach 1978-1981, prodziekan Wydz. Arch. od 1982 do 1985, dziekan Wydz. Arch. w latach 1985-1989. Na emeryturze od 1982, później zatrudniony na części etatu i w ramach prac zleconych.

Ponad 80 publikacji z dziedziny rewaloryzacji miast oraz teorii i praktyki planowania przestrzennego.

Z Gdańskiem do dwudziestego piątego roku życia spotkałem się tylko pośrednio, roznosząc konspiracyjne broszurki, których rzekomym miejscem wydania miał być właśnie Gdańsk (co stanowiło oczywiście swoistą złośliwą demonstrację wydawców) lub pilnie studiując w lwowskich bibliotekach historię architektury i urbanistyki gdańskiej - korzystając głównie z obszernego dzieła pod redakcją S. Kutrzeby i uroczej książki J. Kilarskiego[1].

W czerwcu 1945 roku zostałem repatriowany (czy precyzyjniej mówiąc - ekspatriowany) ze Lwowa do Gdańska. Po długiej i pełnej emocji podróży dotarłem wraz z młodszym bratem do Gdańska, który objawił się nam przez otwarte wierzeje wagonu towarowego jako dramatycznie postrzępiona sylweta. Muszę przyznać się, że poraził mnie nie tylko ogrom zniszczeń, ale i ciemna czerwień ceglanych kościołów, ratusza i baszt, tak różniących się od białych, barokowych brył budowli małopolskich. Trzeba mi było lat, abym się przyzwyczaił do pomorskich krajobrazów, chociaż znałem już od dziecka Toruń.

Krótko po przyjeździe, rozpocząłem pracę jako technik w Pracowni Urbanistycznej Zarządu Miejskiego. Oczywiście najpilniejszym zadaniem była inwentaryzacja zniszczeń. Zaopatrzony w zaświadczenie wydane przez Gdańską Dyrekcję Odbudowy wędrowałem po gruzach Głównego Miasta, by stwierdzić np. taki stan wartościowych pozostałości zabudowy:

Ul. Świętego Ducha 17	Elewacja 3-kond, z końca XVI w. z kamiennymi zwornikami nasadami łęków. Wymaga natychmiastowego zabezpieczenia.
Ul. Świętego Ducha 18	Resztki elewacji z XVII w.
Ul. Świętego Ducha 21	Mury boczne z XV w.
Ul. Świętego Ducha 22	Mury boczne z łękami z XVI - XVII w.
Ul. Świętego Ducha 23	Elewacja 3 1/2 kond. z XVI - XVII w., boczne mury z łękami XV - XVI w. Elewację należy natychmiast zabezpieczyć.
Ul. Świętego Ducha 34 - 41	W gruzach kamienne fragmenty elewacji.

Wykonywałem również zdjęcia fotograficzne ruin Gdańska[2]. Równocześnie z pracą inwentaryzacyjną i projektową kontynuowałem studia na IV roku Wydziału Architektury Politechniki Gdańskiej[3]

Zniszczenia Gdańska, a zwłaszcza jego historycznego jądra, były (jak wiadomo) nadzwyczaj poważne. Budynki Miasta Głównego i Starego oraz Wyspy Spichrzów i Starego Przedmieścia uległy zniszczeniu w ok. 90%[4]. Należy pamiętać, że w warunkach powojennej ogólnej biedy trudno było uzyskać środki techniczne i finansowe potrzebne dla zabezpieczenia tak wielu wolnostojących, ażurowych fasad pozbawionych zakotwiczeń w postaci belek stropowych i więźb dachowych. Sztormy pierwszej powojennej zimy położyły pokotem wiele wartościowych murów, zwłaszcza frontowych elewacji kamienic mieszczańskich (nie obyło się przy tym bez ofiar, także śmiertelnych). Nic dziwnego, że zamieszkały w Londynie polski malarz M. Żuławski pisał w 1946 roku: Gdańsk ... *"wygląda jak miasto, które rozpadło się w gruzy przed wiekami... Panują tam niepodzielnie cisza i pustka. Ruiny Gdańska "ogląda się" jak ruiny Babilonu lub Niniwy"*. K. Małcużyński uważał, że *"Gdańsk ... ustanawiał tragiczne rekordy wojennych zniszczeń"*. K. Giżycki pisał, że Gdańsk *to "miasto umarłe, miasto zgliszcz i ruin"*[5] Jeszcze niemal trzy lata po zakończeniu wojny szwajcarski federalny konserwator zabytków, profesor Politechniki w Zürychu L. Birchler pisał: *"Prawie całkowicie wypalony jest stary Gdańsk... Mariacka, Długi*

Targ, Długa, Ogarna - wszystko wypalone. Ruiny, pośród których gdzieniegdzie zachowały się wspaniałe bramy i bogate obramowania okien"[6]. Doskonale pamiętam, że jeszcze w drugiej połowie roku 1946 kopciło się przywalone gruzami zboże na Wyspie Spichrzów.

Nie można przeto dziwić się, że w okresie powojennym można było wysuwać bardzo rozbieżne wnioski na temat ewentualnej odbudowy Gdańska. M. Janowski pisał zjadliwie: *"Uważam, że Gdańsk nie powinien być w ogóle odbudowany ... Nikt dziś poważnie nie myśli o odbudowie Forum Romanum do stanu pierwotnego po to, by w Basilica Iulia umieścić starostwo powiatowe, a w Colosseum urządzać wielkie wyścigi motocyklowe... Nie usiłujmy odbudować z ruin zwarcie zabudowanych ulic, ale odwrotnie, przeprowadźmy ich rozbiórkę aż do fundamentów, aż do poziomu gruntu".*[7] H. Tetzlaff kwestionował sentymentalne motywy odbudowy tego *"krnąbrnego wobec Polski miasta"* oraz proponował budowę nowego miasta portowego w okolicach Nowego Portu i *"nowoczesnej dzielnicy mieszkaniowej na miejscu krętych i ciasnych uliczek dawnego Gdańska"*[8]. Jak pisał M. Brandys[9], *"artyści i naukowcy ręka w rękę z realistami gospodarczymi"* żądali odbudowy starego Gdańska przy wprowadzaniu niezbędnych zmian. Wśród zwolenników takiego rozwiązania, ważną rolę odgrywali profesorowie Wydziału Architektury Politechniki Gdańskiej - J. Borowski, W. Czerny, M. Osiński i ich młodzi współpracownicy. Istotny był wkład Gdańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauki i Sztuki,, toteż symboliczne znaczenie miało ogłoszenie przez Generalnego Konsewatora prof. J. Zachwatowicza decyzji o odbudowie starego Gdańska właśnie na zebraniu GTPNiS, co nastąpiło 17 lutego 1948 roku.

Decyzja taka mogła być podjęta dzięki pracom przygotowawczym, które trwały już wcześniej.

- W Pracowni Urbanistycznej Urzędu Miejskiego rozpoczęto na wiosnę 1945 opracowywanie studiów do planów urbanistycznych Gdańska i jego Śródmieścia pod kierunkiem późniejszego profesora PG, wiceprezydenta Gdańska, W. Czernego, wspomaganego przez zespół z udziałem W. Spisackiego, później W. Gruszkowskiego i B. Szermera.
- W Katedrze Historii Architektury Powszechnej PG gromadzono pod kierunkiem prof. J. Borowskiego (w latach 1945 -1951 Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków) materiały ikonograficzne dotyczące zabytków Gdańska.
- Gdańska Dyrekcja Odbudowy przeprowadziła od maja 1945 prace zabezpieczające w najważniejszych budowlach i odgruzowanie ulic. Bez tych i innych prac przygotowawczych nie byłoby możliwe rozpoczęcie odbudowy Miasta Głównego w roku 1949.

---

1 S. Kutrzeba (red.): Gdańsk. Przeszłość i teraźniejszość, Lwów 1928 (rozdział o sztuce i przemyśle artystycznym autorstwa ks. T. Kruszyńskiego), J. Kilarski: Gdańsk, Poznań 1937

2 Kopie maszynopisu inwentaryzacji w zbiorach Katedry Urbanistyki PG . Negatywy zdjęć przekazałem Gdańskiej Galerii Fotografii.

3 W roku akad. 1945/46 byłem studentem ostatniego roku, dyplom uzyskałem w lipcu 1947 na podstawie projektu "Zabudowa Wyspy Spichrzów jako ośrodka administracyjnego i handlowego". W tymże roku zostałem asystentem w Katedrze Urbanistyki.

4 Wiele źródeł.

5 Wspomnienia z odbudowy Głównego Moasta, Gdańsk 1978

6 Schweizerische Bauzeitung, Nr 49/1948

7 "Miasto, którego nie należy odbudowywać", "Skarpa Warszawska R.2 1946"

8 "Czy i gdzie Gdańsk powinien być odbudowany?" Dziennik Bałtycki Nr 202/1947

9 "List z Wybrzeża", Odrodzenie 10.8.1947

Wiesław Gruszkowski
Katedra Urbanistyki



Gdańskie ruiny w zimie 1945/1946 r., ul. Świętojańska, w głębi ocalały kościół św. Mikołaja (zdjęcie ze zbioru autora).



KRĘTE DROGI KAZIMIERZA LELEWICZA DO RUMOWISKA GDAŃSKA

Nieubłagany los wojennego kataklizmu zamienił w roku 1945 historyczny Gdańsk w jedno wielkie zwalisko gruzów.

Runęły sklepienia gdańskich kościołów, rozbite zostały wieże i baszty, w proch się rozsypały misterne, złocone fasady i szczyty barokowych kamienic. Zdawało się, że historyczny Gdańsk bezpowrotnie zaginął. Pustka, która powiała od ruin, nie przestraszyła dążących ku morzu piastowskim szlakiem Polaków. Rzeczypospolita Ludowa objęła na nowo, po wiekowej przerwie, miasto Gdańsk w posiadanie. Na ruinach i gruzach poczęło wyrastać nowe, polskie, swobodne życie.

Do takiego Gdańska, do tego stosu gruzów przyjechałem w 1945 roku, by osiedlić się tu na stałe. Pierwsze moje spotkanie - żołnierza Ruchu Oporu w walce z hitlerowskim okupantem było wzruszające. Od razu nasunęło się pytanie: Kiedy my ten Gdańsk odbudujemy? Odpowiedzi długo nie było. "A strzępy murów, jak widma, nad ulicą wiszą, ruń zwalista porasta. Umarłe miasto Gdańsk" - pisała poetka M.H.S.. I tu przypominałem sobie pierwszą swoją wizytę w Gdańsku w 1921 roku, jak podziwiałem wówczas piękne widoki Motławy, dźwigającej na swym brzegu sępi kontur Żurawia i szeregi jasnych kamieniczek, pięknych renesansowych i barokowych budowli ulicy Długiej i Długiego Targu, zdobnych w złote fasady i szczyty faliste, wysmukłą wieżę Ratusza Głównomiejskiego, urocze przedproża ulicy Mariackiej i masyw Kościoła N.P. Marii.

Te wspomnienia wystarczyły, by pozostać w Gdańsku na stałe i zaznać wraz z innymi repatriantami goryczy jego zniszczeń.

Cóż zatem przeżyć mieli w 1945 roku ludzie, których łączyła z tym miastem więź bliska i serdeczna? Radość z jego odzyskania przytłumiona została smutkiem, u niejednych prawdziwą rozpaczą, że oto uzyskano nad Motławą same zgliszcza i ruiny. Dawny Gdańsk przestał istnieć. To co wieki budowały i tworzyły, rozpadło się w kilkunastu dniach. Dzieło unicestwienia zdawało się być zupełne i nie dające się już naprawić. Paru ocalałych pomników przeszłości czepiał się wzrok przechodnia, by choć na moment odpocząć od widoku, jaki go zewsząd otaczał; olbrzymie rumowiska gruzów, upiorne rzędy poszczerbionych, wypalonych ścian z pustymi oczodołami okien:"

Ta pełna patosu próba wspomnień Lelewicza dla Kalendarza Gdańskiego z 1985 roku, jest dla uważnego czytelnika przykładem pewnych cech charakteru autora tych wspomnień. Czy wystarczającą do poznania samego autora?

Kazimierz Lelewicz urodził się 15 grudnia 1896 r. w Lubartowie (województwo lubelskie) gdzie ukończył progimnazjum, by wstąpić do Szkoły Mechaniczno-Technicznej im. Wawelberga i Rotwanda w Warszawie. Ukończył ją 15.VI.1915 r. Wybuch wojny skierował jego dalsze losy na wschód. W lipcu 1915 r. wyjeżdża z Warszawy w kierunku Moskwy, do której dociera 20 sierpnia tegoż roku. Tymczasem, jeszcze 5 sierpnia 1915 r. armia niemiecka zajmuje Warszawę.

Lelewicz 1 września 1915 r. zapisuje się na specjalny kurs dla inżynierów i budowniczych organizowany w ramach studiów w oficerskiej Wyższej Szkole Wojennej Wydziału Budownictwa Polowego, gdzie studiuje do 1.VI.1916 r. Dwa tygodnie później zostaje wcielony do 6

Inżynieryjnego Pułku, 9 Korpusu, 42 Dywizji 2 Armi w randze podporucznika-inżyniera, gdzie przebywa do października 1917 r.

W Rosji trwa rewolucja. Jest Przewodniczącym Komitetu Wykonawczego Pułku. Wkrótce przekazuje agendy pułku i wyjeżdża do Moskwy. Załatwia zwolnienie w Sztabie Rewolucyjnym Moskwy i przez Mińsk jedzie do Polski. 18 maja 1918 r. jest już w Lublinie, gdzie dwa dni później rozpoczyna pracę w biurze Techniczno-Budowlanym Bronisława Kochanowskiego (ul. Niecała 5). We wrześniu 1918 r. przenosi się do Zarządu Gmachów po-Gubernialnych, którym kierował inż. Teleżyński. 1 grudnia 1918 r. zostaje przyjęty przez komendanta III Oddziału Dowództwa Wojskowych Kolei Wołyńskich - inż. Rogowskiego w Chełmie. Zostaje oddelegowany do Sekcji Drogowej linii kolejowej Rejowiec-Bełżec, wybudowanej przez Austriaków. Tam zapoznaje się ze stanem tej linii i przystępuje do sporządzania brakujących planów. Przygotowuje się do objęcia kierownictwa Sekcji Drogowej z biurem w Zwierzyńcu Lubelskim, gdzie poznaje swoją przyszłą żonę, Marię Mikulską. 7 lutego 1920 roku zostaje zawarty związek małżeński w tymże Zwierzyńcu.

W ramach specjalizacji w budownictwie kolejowym pracuje w charakterze technika a później naczelnika "Systemu" Drogowego w Kiwercach - projektując odbudowę budynków i urządzeń kolejowych na linii Kowel-Równe i Kiwerce-Łuck-Stojanów, a następnie w Kowlu do 1921 r.

Znowu zmienia teren swojej pracy. Od 1921 roku rozpoczyna dalszą praktykę w Dziale Budowlanym Dyrekcji Kolei Państwowej w Wilnie, w charakterze starszego technika i referenta spraw technicznych przy projektowaniu budynków i urządzeń kolejowych aż do dnia 15.X.1939 r. Czuje, że to mu nie wystarcza. Wrażliwa natura poszukuje możliwości ujawnienia się. Podejmuje więc studia malarskie i fotograficzne, pierwsze u Mariana Kuleszy i Tadeusza Roztworowskiego, drugie u Jana Kuruszy-Worobiewa (portret artystyczny), i u prof. Jana Bułhaka (pejzaż). W latach 1923-1925 poznaje nowe techniki i specjalizuje się w nich. Są to: bromoolej, przetłok, guma, pigment itp.

Ale i to mu nie wystarcza. Inicjuje i współorganizuje w Wilnie Towarzystwo Fotograficzne. Dla jego członków na terenie Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu im. Stefana Batorego w Wilnie organizuje dwie serie kursów teoretycznych i praktycznych, będąc od 1926 r. przez szereg lat sekretarzem, a później wiceprezesem tego Towarzystwa. Od swego mistrza Jana Bułhaka wiele się uczy i współpracuje z nim w dziedzinie fotografii artystycznej. Bierze też czynny udział w pracach Fotoklubu. W 1928 r. wygłasza szereg odczytów z dziedziny fotografiki i fotografii na falach rozgłośni Radia Wileńskiego.

Bierze udział w licznych wystawach fotograficznych, nie tylko ogólnopolskich, ale także międzynarodowych. W ogólnopolskich należy wymienić przede wszystkim udział w : 1927 r. w Wilnie, w 1929 r. Krzemieniec-Łuck-Równe (gdzie uzyskał I nagrodę), w Poznaniu na PWK, w 1930 r. - we Lwowie, Wilnie, Bydgoszczy, Krzemieńcu, w 1931 r. - w Warszawie, w Zachęcie Sztuk Pięknych, z której to wystawy prace zostały przekazane do zbiorów Muzeum Narodowego w Warszawie; w warszawskim P.T.F. W 1932 r. wystawia swoje prace w Tarnowie i Krakowie, w 1933 r. - znowu w Warszawie w Zachęcie Sztuk Pięknych, później także w Poznaniu, Wilnie i Kielcach, w 1934 r. - we Lwowie i Grudziądzu.

Liczny udział w wystawach międzynarodowych świadczy o jego artystycznej prężności. Wymienić należy Salon Lwowski na wystawie w Wilnie, w 1928 r. wystawę w Poznaniu w 1929 r., w Barcelonie w 1930 r. i w tym samym roku znowu w Wilnie, dalej w Turynie, Tokio i Osace w 1931r., w Mediolanie w 1932 r., Krakowie w 1933 r., oraz w Nowym Jorku, Paryżu i Wiedniu w 1937 r. Z wystaw tych plonem dla Lelewicza były liczne dyplomy, wyróżnienia, czy nagrody pieniężne, a także powystawowe publikacje.

Nagle wybucha wojna, jest rok 1939; i tu zaczynają się kolejne rozdziały w życiorysie, już ukształtowanego artysty-fotografika.

Lelewicz zostaje w Wilnie pod okupacją litewską, potem Litwy Radzieckiej. Wraca do dawnego zawodu - zna przecież dobrze rosyjski, a tacy są poszukiwani na terenie miasta. Zatrudnia się w "Pramprojekcie" - wileńskim Biurze Projektowania Budynków Przemysłowych, w którym pracuje do 22.06.1941 r.

Niemiecką okupację przeżywa już w Nowej Wilejce, gdzie zakłada własną pracownię fotograficzną po zdobyciu uprawnień zarobkowych w tym zawodzie - tym razem artystycznym. Wraz z żoną wykorzystuje swój pobyt poza dużym ośrodkiem miejskim do działalności pozaartystycznej, czynnie wspierając nazwany przez siebie "Ruch Oporu" - skierowany przeciwko okupantowi. Ten okres jego podziemnej działalności jest najmniej znany.

Po wyzwoleniu spod okupacji niemieckiej, Kazimierz Lelewicz wraz z żoną opuszcza w

trzeciej dekadzie września tereny swojej 24-letniej działalności i w tym samym miesiącu

Zacięcie artystyczne, które emanuje z Jego fotograficznych obrazów zaowocowało licznymi



Gdańsk dn. 1. IV. 46. r.

ZAŚWIADCZENIE

Ob. Kazimierz Lelewicz, legitymujący się kartą ewakuacyjną Nr. 5550-5551, zamieszkały we Wrzeszczu ul. Topolowa Nr. 2.

Z upoważnienia Zarządu Miejskiego i na jego zamówienie wykonuje w dniach od 1 do 6-go kwietnia próbne zdjęcia z zabytkowej architektury Gdańska i Oliwy.

1945 r. pojawia się w Gdańsku. W pobliskim Wrzeszczu, przy ul. Topolowej 2 m 2 organizuje własną pracownię fotograficzną. Rozpoczyna dokumentowanie w fotografii zniszczeń Gdańska. Współpracuje z wojewódzkim konserwatorem zabytków - Janem Borowskim oraz kierownikiem Wydziału Kultury M.R.N. - Janem Kilarskim.

wystawami. Na londyńską Wystawę Konserwatorską przygotował 90 fotogramów, na krajową Wystawę Konserwatorską w Muzeum Narodowym w Warszawie w 1950 r. 30 fotogramów, obie w cyklu: "Zniszczenia i odbudowa zabytków Gdańska" i województwa gdańskiego. Na uczczenie drugiego Kongresu Obrońców Pokoju w Warszawie, organizowanego pod hasłem:



K. Lelewicz z grupą studentów Wydziału Architektury na ćwiczeniach plenerowych w Gdańsku

"Wojna niszczy, pokój buduje", Lelewicz na wystawę w Muzeum Pomorskim w Gdańsku przygotował 50 fotogramów w ulubionym przez siebie formacie 30 na 40 cm, obrazujących zniszczenie i odbudowę Gdańska.

Zacięcie dydaktyczne artysty zaprowadziło go na Wydział Architektury Politechniki Gdańskiej do ówczesnego dziekana, prof. Mariana Osińskiego. Wynegocjował na czwartej, poddaszowej kondygnacji Gmachu Głównego Uczelni pomieszczenia na laboratorium fotograficzne, a dla siebie - godziny w programach zajęć dodatkowych na wykłady. Na te zajęcia uczęszczało ok. 70 studentów z II-go i ok. 20 - z III roku Wydziału, a i wolnych słuchaczy z innych wydziałów i uczelni było na zajęciach sporo. Wszak w tym okresie nauczanie fotografiki na artystycznym poziomie było jeszcze rzadkością, podobnie jak wprowadzone do programu pewne zagadnienia z fotogrametrii.

Na otwarcie III Sesji Naukowej Wydziału Archtektury P.G. w okresie 5-22.VI.1953 r. urządzono wystawę 100 fotogramów (formatu 30x40) słuchaczy studium fotograficznego, obrazujących piękno architektury polskiej. Niestety, w wyniku reorganizacji Uczelni, w połowie 1970 r. studium zostało zlikwidowane, z wielką szkodą dla studentów.

Kazimierz Lelewicz, oprócz już wymienionych, bierze udział w licznych wystawach fotograficznych w kraju i jest wielokrotnie nagradzany, jak to miało miejsce na I festiwalu w Sopocie w 1948 r., czy w roku następnym w Poznaniu, gdzie zdobywa wyróżnienie, czy znowu na II festiwalu w Sopocie, w 1949 r., gdzie otrzymuje srebrny madal. Na wystawie w 1950 r. we Wrocławiu, jedna z jego prac trafiła do katalogu. Kolejne wystawy, w których prezentował swoje prace odbyły się: w 1950 r. w Warszawie jako I Wystawa Fotografiki Z.P.A.F. w 1955 r. w Gdańsku, w 1952 r. znowu w Warszawie jako II Wystawa Fotografiki Z.P.A.F.

Związek Polskich Artystów Fotografików wysyła również prace Lelewicza za granicę w latach 1954-1959 - m. in. do Brazylii, Anglii, Francji, Belgii, do państw skandynawskich.

Na Dni Gdańska w 1959 r. w Dworze Artusa eksponowano indywidualną wystawę prac artysty, którą - nieco zmienioną - w 1960 r. urządzono w Ratuszu Gł. Miasta Gdańska,, w 1961 r. - w klubie T.P.P.R. w Gdańsku, a w roku następnym, w siedzibie Stow. Architektów Polskich przy Targu Węglowym, również w Gdańsku.

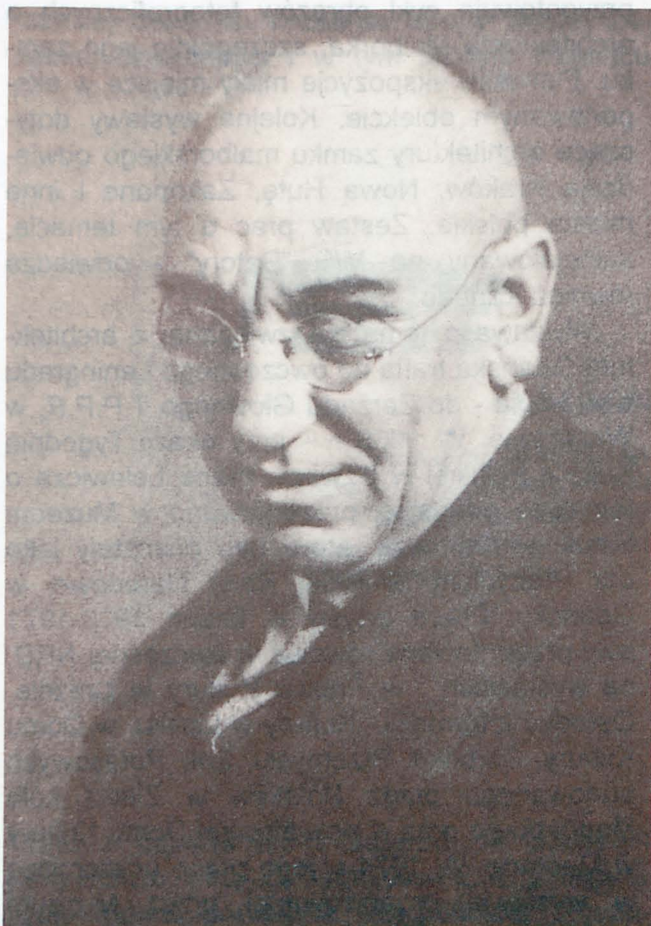
Swoje zainteresowanie dawną architekturą Lelewicz nie ogranicza do Gdańska. W 1962 r. przygotowuje cykl obrazów fotograficznych o architekturze Malborka, szczególnie jego zamku. Pierwsze ekspozycje miały miejsce w eksponowanym obiekcie. Kolejne wystawy dotyczące architektury zamku malborskiego odwiedzają Kraków, Nową Hutę, Zakopane i inne miasta polskie. Zestaw prac o tym temacie, zainstalowany na M/S "Batory" - odwiedza również Kanadę.

Wystawa o tematyce związanej z architekturą Gdańska trafia do ówczesnego Leningradu a jej kopia - do Zarządu Głównego T.P.P.R. w Warszawie. W 1968 r. - przy okazji Tygodnia Kultury Polskiej w Szwecji, prace Lelewicza o tematyce gdańskiej prezentowano w Muzeum Sztuki w Kalmarze, które tam pozostały jako dar Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Gdańsku. Prace artysty w latach 1970-1971 były prezentowane również w ówczesnej NRD, na wystawach : w Pałacu Kultury w Dreźnie, Ośrodku Informacji i Kultury w Lipsku, w Domu Kultury Ośrodka Przemysłu Soli Potasowych budowanego przez Polaków w Zielitz koło Magdeburga oraz w powiatowym Domu Kultury w Meerane. W 1974 r. jego prace uczestniczą w wystawie organizowanej przez Muzeum Architektury we Wrocławiu - Coventry (Anglia).

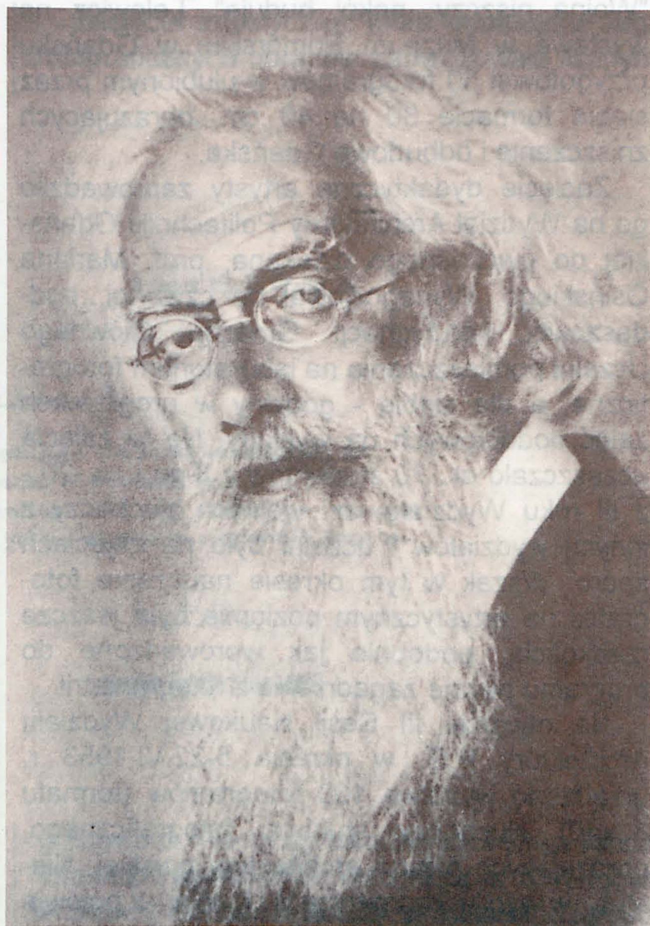
Ministerstwo Kultury i Sztuki oraz Z.P.A.F. urządziło w Zachęcie (przy Placu Małachowskiego 3) w Warszawie ogólnopolską wystawę fotograficzną p.t. "Po trzydziestu latach", która odbyła się w październiku 1974 r. i w której uczestniczyły prace gdańskiego artysty-fotografika.

Jako organizator wystaw z ramienia Z.P.A.F. na województwo gdańskie, Lelewicz zaprezentował fotografię węgierską w B.W.A. w Sopocie, jugosłowiańską - w Dworze Artusa w Gdańsku, francuską - w Muzeum Narodowym w Gdańsku p.t. "Oto Paryż", w salach Politechniki Gdańskiej - prace prof. Witolda Romera z Wrocławia. Brał też udział w różnych Komisjach wystaw czy konkursów. Przewodniczył n.p. jury konkursu na "Port Północny w Gdańsku". Wypada przypomnieć, że Kazimierz Lelewicz był w 1947 r. współzałożycielem Związku Polskich Artystów Fotografików, a także współorganizatorem Gdańskiego Towarzystwa Fotograficznego, którego był pierwszym prezesem.

Zrobił dla Gdańska bardzo dużo, zasłużył chyba nie tylko na nagrodę wojewody gdańskiego, którą odebrał 15.01.1976 r. w gronie 12 laureatów, w dziedzinie kultury i nauki, ale również na fizyczne wsparcie w trudach życia. Gdy wreszcie po jego długotrwałych staraniach



Kazimierz Lelewicz - Portret
(z publikacji: Die Galerie, Wien, Heft 8, August 1937, s.153)



Kazimierz Lelewicz: Studium portretu
(z publikacji: Camera Zürich, Nr 1- Juli 1938, s.22)



Kazimierz Lelewicz
(z publikacji: Die Galerie, Wien, Heft 6, Juni 1936)

doczekał się centralnego ogrzewania dla całej kamienicy, w czasie osobistego przestawiania mebli, gdy już prawie 90 lat miał na ukończeniu, serce nie wytrzymało. Zmarł nagle 01.10.1986 r. z braku popularnego, nasercowego leku...

Został pochowany na srebrzyskim cmentarzu Wrzeszcza przez grono przyjaciół...

Na przyjazd papieża planował opracowanie kolorowego albumu o gdańskich świątyniach, myślał o tematycznych albumach dotyczących piękna Ziemi Gdańskiej.

Nie zdążył.

Za to w pamięci przyjaciół utrwalił się jako nieprzeciętny autor dokumentalnych zdjęć zniszczonego i odbudowującego się Gdańska, oglądanych w niemal wszystkich publikacjach dotyczących tego miasta.

A Jego prace - już długo po śmierci - są dalej powielane w kolejnych publikacjach, czasem bez podania nazwiska ich autora, stanowiąc najtrwalszy pomnik pamięci, którego dotąd brak na cmentarzu. Bo ani daleka rodzina, która sobie przypomniała o dobrach pozostawionych przez artystę-fotografika, ani władze Gdańska, którym pozostawił w darze dla Ratusza 100 portretów ich miasta - nie pamiętają o zapadającym się coraz głębiej jego grobie na Srebrzysku, obecnie wspólnym z Jego żoną.

Janusz Ciemnołoński



Małżeństwo Marii i Kazimierza Lelewiczów wśród medali, dyplomów, wyróżnień i publikacji artysty

HORST PONCZEK
Helmsted, RFN

SPURENSUCHE ...
Die Wahrheit uber den
Untergang Danzigs 1945

TROPIENIE ŚLADÓW
Prawda o zagładzie
Gdańska w r. 1945

AUTORYZOWANY PRZEKŁAD FRAGMENTU ZE STRON 121 ORAZ 122

157-y świadek Dr. Horst Wolf
Obiekt: Budynek Politechniki Gdańskiej we Wrzeszczu

Świadek, jako lekarz wojskowy, przeżył wkroczenie Armii Czerwonej do Gdańska, gdzie był zatrudniony w polowym szpitalu, utworzonym w budynku Politechniki. Przy zbliżaniu się do budynku sowieccy żołnierze dziko strzelali wokół i salwy kierowali do pomieszczeń. Świadek został doprowadzony przez sowieckich oficerów do pewnej willi, gdzie razem z innymi oficerami niemieckimi był poddany przesłuchaniu. Następnie świadek został ponownie doprowadzony na Politechnikę. Tutaj widział przestępstwo:

"Spotkały nas swąd pożaru i chmury dymu. Gdy zarysy mocno rozczłonkowanej Politechniki stały się widoczne, spostrzegliśmy, że płonie zespół sal wykładowych Gmachu Głównego, gdzie pomieszczony był szpital polowy. Opadły mnie przerażenie i obawa. Przecież to tam leżeli nasi ranni niemieccy żołnierze. ...

Przerażający widok ukazał się naszym oczom. Na wolnej przestrzeni przy szpitalu leżeli umierający ranni i niedopalone zwłoki. Widocznie tym mężczyznom udało się jeszcze oddalić od pożaru. Na zewnątrz załamali się i umierali ze swych pootwieranych ran pooperacyjnych i pożarowych. Niemieckie kobiety, które dla własnej ochrony uciekły się pod wielki Czerwony Krzyż szpitala, we czwórkę usiłowały wynieść z zasięgu pożaru poszczególnych żyjących żołnierzy. Ten ciężar na ich rękach po 10 - 15 metrach był zabijany przez stojących wokoło żołnierzy. Sowieccy oficerowie przyglądali się. Spokojnie paląc papierosy delektowali się tym dramatem. Inna grupa przerażonych kobiet zajmowała się tym, by za pomocą skręconych prześcieradeł pomóc wydostać się z pierwszego piętra tym rannym, którzy jeszcze mogli posługiwać się rękami. Prześcieradła były przywiązane do poprzeczki futryny okiennej a od dołu były napinane przez kobiety. W każdym razie w ten sposób udało się uratować z piekielnego ognia kilku zagrożonych śmiercią. Wielu leżało już płasko na ziemi, inni kucali oparci o mur, rozgrzany pożarem. Wiele kobiet już zrezygnowało, gdy ujrzały, że ich trudne działanie przyczynia się tylko do tego, by sowieccy żołnierze mogli zaspokoić żądzę strzelania. Z obawy, że same także mogą być zastrzelone, większość kobiet zrezygnowała z pomagania i usunęła się. Uznałem odwagę nielicznych pozostałych kobiet."

.....(str.40)

Dr Wolf sam zajął się wynoszeniem rannych żołnierzy. Ku jego zdumieniu sowieccy żołnierze teraz nie strzelali. W ten sposób uratowano 40 rannych. Jednakże nieco później musiał z przerażeniem stwierdzić, iż w niepodpalonych budynkach sowieccy żołnierze wystrzelali rannych Niemców w łóżkach szpitalnych. Zrozumiał teraz *"co już wiele wcześniej w Elblągu obiło mu się o uszy, że sowieci załatwiają niewygodnych dla siebie rannych. Dowiedział się także w Elblągu, że wódka jest wydawana sowieckim żołnierzom jako stymulator, by bez ludzkiego zahamowania byli posłuszni morderczym rozkazom, nadchodzącym z wyższego poziomu...."*

.....(str.41)

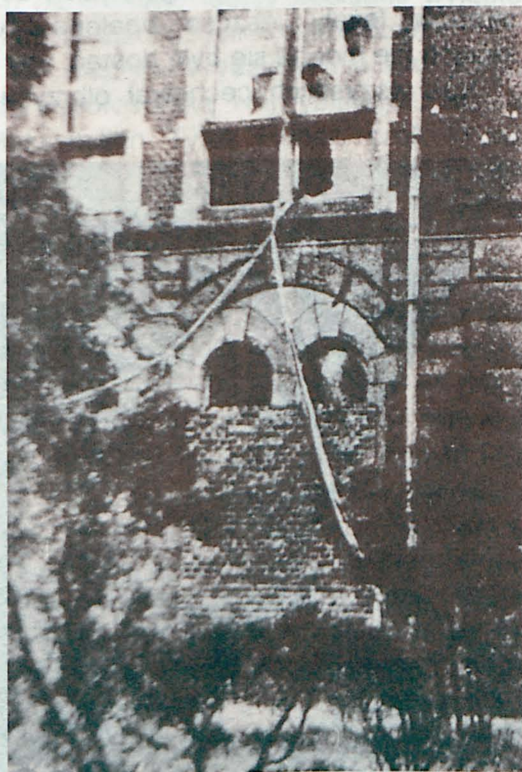
Wyżej cytowane urywki ukazały się po niemiecku w książce:
Dr. Horst Wolf **"ICH SAGE WAHRHEIT ODER ICH SCHWEIGE"**
(MÓWIĘ PRAWDĘ LUB MILCZĘ)

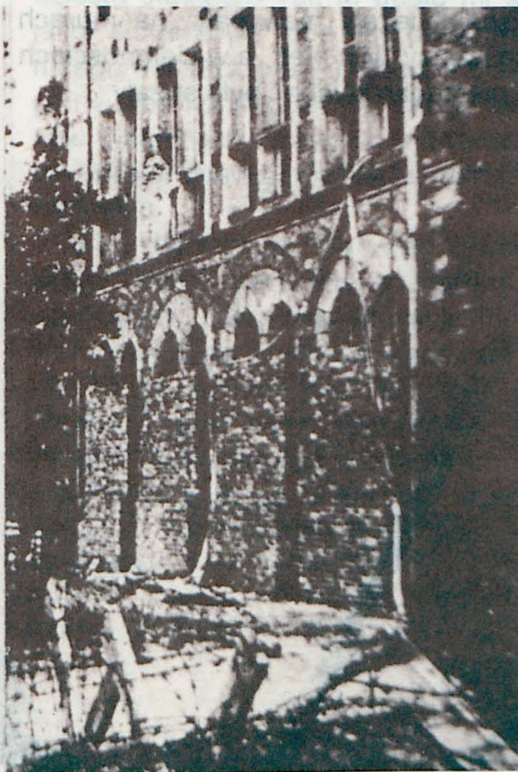
DOPISKI TŁUMACZA:

1) Poniżej zamieszczam reprodukcję fotografii, która ukazała się w tygodniku "Przekrój" na stronie 14 zeszytu 7 z roku 1945. Jest on datowany na okres 27 maja - 6 czerwca. Widoczne sznury ratunkowe, skręcone z prześcieradeł, zwisają z okna sali 154 w Gmachu Głównym. Mur przeciwodłamkowy chronił okna parterowej sali 54. Został dawno rozebrany, ale na kamiennym obramowaniu okien pozostały ślady zaprawy murarskiej.

2) W miesięczniku "Politechnika" zeszyt 5-6 z roku 1947 zawiera m. in. artykuł prof. dra Bronisława Bukowskiego z naszej Uczelni, noszący tytuł "Odbudowa Politechniki Gdańskiej". Na str. 180 występuje stwierdzenie: "Politechnika była czynna bez przerwy do 1944 r. kiedy zamieniono ją, a przede wszystkim Gmach Główny, na szpital woskowy. Szpital ten był przepełniony rannymi, kiedy wojska radzieckie od południa i zachodu uderzyły na Gdańsk." Na str. 183 podano, że: "Z tylnych traktów pozostały prawie tylko same ściany i belki stropowe, a i przednie trakty zniszczone są w ok. 50%, przy czym spaliły się kryty i zawaliła się większa część stropów." ... "W zgliszczach znaleziono ok. 800 trupów."

Przekład: **Jerzy Sawicki**





"Przekrój" Nr 7, 1945 r. "Politechnika Gdańska, Gmach Główny, zamurowane okna parteru, s. 154."

To co jest już historią ...

Rozmowa Janiny Ligman z doc. dr inż Kazimierzem Iwanowskim, długoletnim Kierownikiem Zakładu Podstaw Konstrukcji Maszyn Politechniki Gdańskiej, a także wieloletnim profesorem University of Science & Technology w Port Harcourt

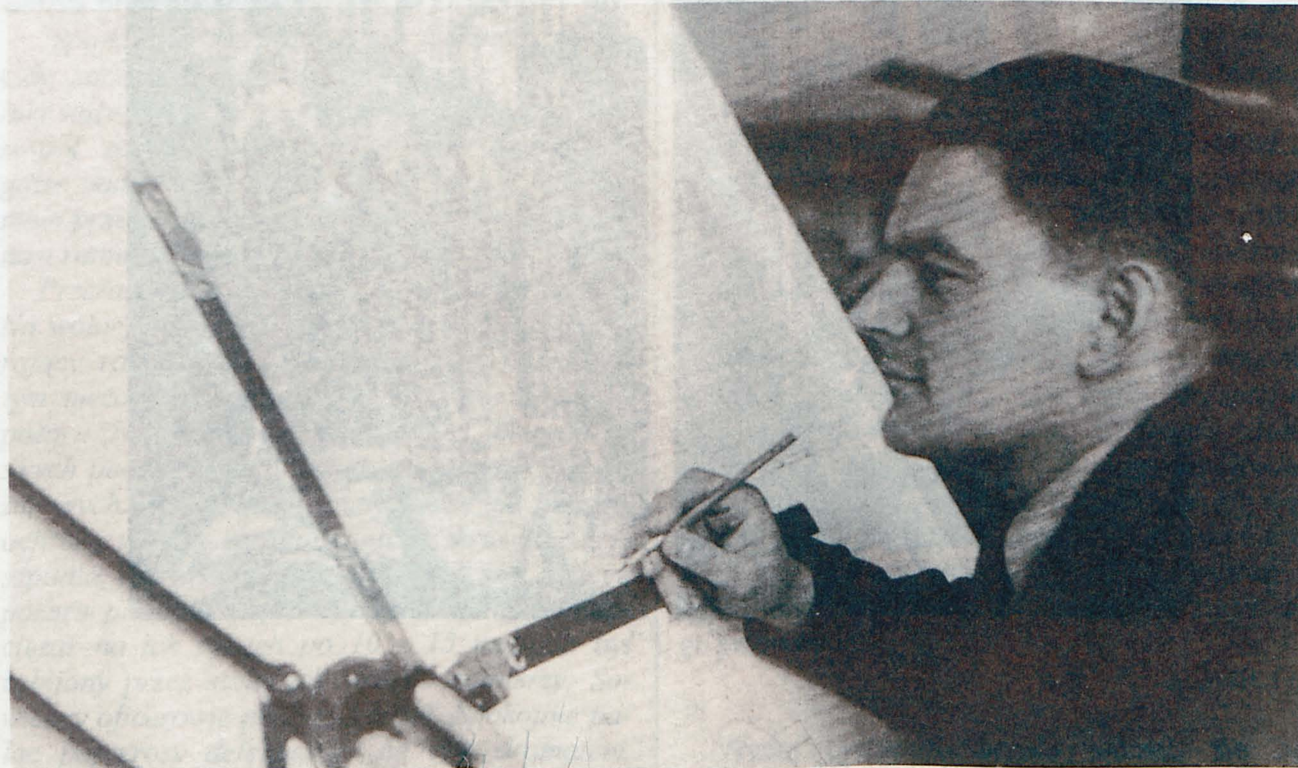
Janina Ligman: *Był Pan Profesor studentem Politechniki Gdańskiej, powiedzmy jaśniej, jednym z pierwszych studentów biorących udział w jej odgruzowywaniu i porządkowaniu po pożodze wojennej. Co najbardziej utkwiło w pamięci Pana z tego okresu?*

Kazimierz Iwanowski: Do Gdańska dotarłem w sierpniu 1945 roku i natychmiast zapisałem się na Wydział Mechaniczny Politechniki Gdańskiej. Wokół jeszcze dymiły zgliszcza, w wielu miejscach leżały niewypały, na murach były świeże napisy "Min niet", a w ciemnościach na ulicach nierzadko słychać było strzały.

zniszczony i zawalony różnymi wrakami, że nie było miejsca nawet na rektorat, który mieścił się wówczas na zewnątrz, przy ul. Batorego. Za naszą pracę dostawaliśmy przysłowiową miskę zupy w stołówce przy ul. Krętej, w dawnym pomieszczeniu loży masońskiej.

W Gmachu Głównym tylko niektóre audytoria miały dach. Już po rozpoczęciu zajęć wykłady odbywały się w nie ogrzewanych pomieszczeniach, gdzie na fragmentach zerwanych stropów leżały jeszcze opalone trupy, do których nie można się było dostać, aby je zdjąć.

Nas wszystkich cechował olbrzymi zapał i



Dla rozpoczęcia zajęć wszyscy studenci pracowali przy odgruzowywaniu Politechniki i usuwaniu trupów, by przygotować Uczelnię do jej uruchomienia. Teren Politechniki był tak

chęć do nauki. Jedynym źródłem informacji były dla nas wykłady, o podręcznikach mogliśmy tylko marzyć. Sami więc zaczęliśmy w Kole Mechaników wydawać na własny koszt

skrypty. Pierwszym był skrypt "Metaloznawstwo", opracowany przez kol. Zdzisława Tatkowskiego i Jana Sitkowskiego na podstawie wykładów prof. Mariana Sieńkowskiego.

Dużo, dużo później w latach 1948-50 najciekawszą była praca w kreślarni Wydziału Mechanicznego, gdzie robiliśmy swoje projekty. Można było przebywać tam 24 godziny na dobę i była ona dla nas drugim domem. Oprócz pracy przy stole kreślarskim wymieniało się tam też poglądy, oceniało swych wykładowców. Istniała także pomoc koleżeńska sprzyjająca wytworzeniu się najlepszych zasad pracy zespołowej. Tu zawsze w krytycznej sytuacji można było pożyczyć parę złotych, uzyskać dobrą życiową radę, napić się herbaty lub kawy, a nieraz i wódki. Drobne przerwy w pracy nie hamowały wysiłku mózgu, wręcz były wskazane. Nieraz zdarzało się, że ktoś przerywał opowieść w pół słowa i niczym nagi Archimedes z wanny, pędził do deski by prędko narysować olśniewające go nagle nowe rozwiązanie.

J.L.: *Z tego co wiem, miał Pan Profesor znakomitych nauczycieli, którzy posiadali wyjątkowy dar kontaktów z uzdolnioną młodzieżą ....*

K.I.: Na naszym Wydziale mieliśmy wspaniałą kadrę profesorską. Najwybitniejsi z nich to prof. Maksymilian Tytus Huber, prof. Michał Broszko, prof. Adolf Polak. Dzięki profesorowi Polakowi przydarzyła mi się rzecz, o której chyba tylko mogłem marzyć.

A było to tak: Po drugim roku studiów, jako jedyny na roku, zdałem u profesora Polaka egzamin z przedmiotu Części Maszyn z oceną bardzo dobrą. Profesor zaproponował mi pracę w jego Katedrze w organizowanym tam zespole, którego zadaniem była konstrukcja pierwszej w kraju, parowej maszyny okrętowej.

Oczywiście z tej fantastycznej oferty skwapliwie skorzystałem i stawiłem się do pracy 30 października 1946 roku. Tego dnia właśnie Katedra przeniosła się do nowych pomieszczeń. Po zakończeniu przeprowadzki profesor postawił "parapetówkę", a impreza miała swój finał późnym wieczorem na molo w Sopocie.

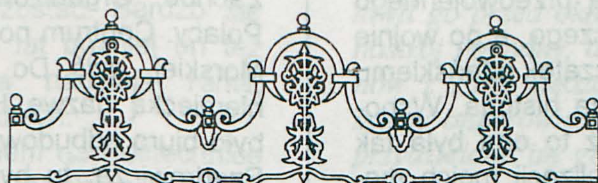
J.L.: *Jak zatem przebiegała praca studenta w Katedrze?*

K.I.: Zaczynałem od konstruowania najprostszych elementów, stopniowo przechodząc do bardziej skomplikowanych zespołów. Prace w Katedrze postępowały szybko, poszczególne rysunki były przesyłane na bieżąco do Huty im. Zgoda w Świętochłowicach. Do tego też zakładu zostałem skierowany na praktykę wakacyjną. Miałem tam wielką satysfakcję, gdy na obrabiarce wykonywałem elementy według moich własnych rysunków. Potem była praktyka przy montażu tej maszyny.

Ze Śląska maszyna została przesłana do Stoczni Gdańskiej, gdzie byłem obecny przy ustawianiu maszyny na statku. Ukoronowaniem przedsięwzięcia był udział w pierwszym rejsie próbnym ss "Sołdka", obserwacja, regulacja i pomiary, pracującej tam naszej maszyny. Była to maszyna typu Lenz, potem konstruowaliśmy maszynę większą - typu Christiansen. Dużą satysfakcję sprawiło nam przyznanie prof. Polakowi dwóch nagród państwowych i świadomość, że maszyny nasze pracują na stu trzydziestu statkach. Tak to udało mi się, jeszcze jako studentowi, pod kierownictwem znakomitego konstruktora profesora Polaka, przebyć pełny cykl konstruowania zaczynając od szkiców wstępnych, poprzez wytwarzanie, aż do weryfikacji doświadczalnej w warunkach pracy na statku.

J.L.: *Potwierdza się więc opinia o Profesorze Polaku, człowieku o wielkim autorytecie naukowym, posiadającym wyjątkową umiejętność włączania zdolnych studentów do prowadzenia poważnych prac konstrukcyjnych. Pan Profesor miał więc szczególną okazję studiować, konstruować i pracować pod kierownictwem jednego z najwybitniejszych pracowników naukowych Politechniki Gdańskiej. Gratuluję!*

Janina Ligman





Jak zaczynałem życie politechniczne

Poniższy tekst był przygotowany na 50-lecie Wydziału Oceanotechniki i Okrętownictwa Politechniki Gdańskiej jako punkt programu: "wystąpienie najstarszego studenta Wydziału" (leg. Nr 1), doc. Jerzego Wiśniewskiego

Gdańsk, 27.05. 1995 r.

Zacznę od sprostowania. Nie mam indeksu studenta z numerem jeden. Numery przydzielano później, w kolejności wydziałów i roczników. Przyznaję się tylko do tego, że chyba mam prawo do tytułu pierwszego studenta, który zgłosił się na studia już w polskiej Politechnice Gdańskiej. Pisze o tym prof. Kazimierz Kopecki w Księdze Pamiątkowej 10-lecia Politechniki. Zgłosiłem się piątego maja 1945 r. W tym dniu jednocześnie stałem się pracownikiem tejże Politechniki. Przyjmował moje zgłoszenie prof. Franciszek Otto, który wraz z z prof. Stanisławem Turskim, prof. Kazimierzem Kopeckim, dr Kazimierzem Kubikiem oraz inż. Stanisławem Szymańskim był członkiem grupy operacyjnej, zabezpieczającej Politechnikę już od 6 kwietnia 1945 r. Przyjęty zostałem bardzo serdecznie, jak do rodziny i znalazłem się w gronie ludzi, którzy stali się pierwszymi doradcami i opiekunami startującego do samodzielnego życia już nie tak młodego, bo dwudziestodwuletniego nowicjusza.

Przyjechałem do Gdańska z Warszawy, gdzie w czasie wojny ukończyłem szkołę techniczną ze specjalnością budowy okrętów. Szkoła ta była kontynuacją przedwojennego liceum samochodowo-lotniczego, a po wojnie jej wydział okrętowy dał początek gdańskiemu Conradinum. Ale to już inna historia. Wspominam tę szkołę, ponieważ to ona była tak niezwykłym początkiem realizacji moich marzeń o pracy na morzu, które zaczęły się od przedwojennych wakacyjnych pobytów w Gdyni, Hallerowie i Gdańsku. Oczywistym było więc dla mnie, że muszę jechać do Gdańska, skoro wojna się skończyła, a ja przecież jestem okrętowcem. Już w lutym i marcu, w Warszawie, szukałem możliwości zaangażowania się do pracy na Wybrzeżu. Wszędzie jednak kazali czekać, a przy okazji proponowali, lub tylko pytali o przynależność polityczną. Istniała wtedy pewna konkurencja między PPR i PPS, ale idea "władzy ludu" była im wspólna i do niej szukali kandydatów. Z tego wszystkiego zdecydowałem wybrać się na własną rękę. I tak w pierwszych dniach marca dotarłem do Gdańska. Jechałem przez trzy dni przez Łódź i Bydgoszcz. Pod Gdańskiem nad pociągiem latały pociski artyleryjskie, bo Niemcy bronili się jeszcze na zatopionych Żuławach i na Helu, który bombardowały samoloty.

Gdańsk na początku maja był jeszcze stosunkowo pusty. Śródmieście spalone, wszędzie ruiny i zgliszcza. Wybrzeże Motławy, gdzie chciałem szukać dla siebie lokum, pamiętając jego urok z przed lat, nie istniało. Życie koncentrowało się we Wrzeszczu. Snuli się tam zgłodniali i zabiedzeni Niemcy. Starcy i kobiety. Większość Niemców uciekła na Zachód. Organizowali się nieliczni jeszcze Polacy. Centrum polskie skupiało się na ulicy Morskiej, dziś Do Studzienki, która nosiła niemiecką nazwę Heiligenbrunner Weg. Tu było biuro odbudowy portów inż. Władysława Szedrowicza, tu była ważna Straż Portowa. W porcie i na stoczniach taka ważna to może ona nie była, bo tam rządzili Rosjanie. Armia Czerwona rządziła zresztą całym miastem, a

czerwonoarmiści byli wszędzie. Te proporcje zmieniały się dość szybko na korzyść Polaków. Gdy zacząłem szukać dla siebie lokum (po przyjeździe zamieszkałem u kolegi, który już był w Gdańsku wcześniej) znalezienie pustego i nie zniszczonego mieszkania o jakimś standardzie było trudne. Zresztą, jak tu zająć całe mieszkanie będąc samotnym kawalerem. Zamieszkałem więc w pokoju przy rodzinie niemieckiej. Do dzisiaj mieszkam pod tym adresem, tylko nazwa ulicy zmieniała się cztery razy. Kawalerem przestałem być w 1946 roku, Niemców wysiedlono jeszcze w lecie 1945. Ale o tym później.

Tymczasem zacząłem szukać politechniki i pracy. Politechnikę znalazłem we Wrzeszczu. Nie taką jaką sobie wyobrażałem z oddali. Miały to być nowoczesne budynki, hale i laboratoria, a zobaczyłem archaicznie wyglądające gmachy, do tego zrujnowane i częściowo wypalone. Za to załoga, którą tam zastałem była pełna życia i energii, i taka przyjazna. Byłem tak zadowolony, że mnie przyjęli do siebie. Tym bardziej, że na straż portową nie bardzo miałem ochotę, mimo iż warunki materialne były tam najlepsze, natomiast atmosfera przypominała warszawską. Byłem także u stoczniowców, ale ci czekali dopiero na objęcie stoczni i czekających mieli na razie dosyć. Politechnika, oprócz przyjaźni i entuzjazmu do pracy oraz perspektywy studiów, nie dawała wiele. Bony na obiady służbowe w re-stauracji na rogu Miszewskiego i Grunwaldzkiej (dziś tam przebiega druga jezdnia Grunwaldzkiej), od czasu do czasu jakieś przydziały twarogu i tłuszczu. O ile pamiętam mieliśmy też kartki żywnościowe,. Jakieś pieniądze dostałem później - 400 zł jako zaliczkę. Te pierwsze zarobione pieniądze wydałem na krawca, który szył mi garnitur z munduru niemieckiego i kurtkę z brezentu. Szukałem lepszych butów i kapelusza. Te można było jeszcze znaleźć w opuszczonych i splądrowanych mieszkaniach. Skąd się wziął już wtedy krawiec? Był nim Mazur z Ełku pan Dudek. Został w Gdańsku z kolumny wysiedlanej na Zachód przez Niemców ludności z Prus Wschodnich. Dudek mówił po polsku i posta-nowił w Gdańsku zostać. Bardzo się zaprzyjaźniliśmy. W parę lat później on też wyemigrował. Zwyciężyła nadzieja renty, którą miał dostać w Niemczech.

Moim pierwszym zajęciem na Politechnice było porządkowanie terenu. Miałem do dyspozycji grupę Niemek i ręczny wózek. Moja brygada z piwnic i stert śmieci oraz pozostałości po szpitalu wojskowym wyciągała przyrządy, książki i wszystko to, co należało do inwentarza Politechniki. Pamiętam integrator wyciągnięty z pierza. Przy okazji moje panie wybierały skrzętnie kawę, cukier i kaszę rozsypane w śmieciach szpitalnych. Jednym z większych zadań było przetransportowanie z domu przed wejściem głównym do Politechniki, w którym się mieścił Ostsee-institut, potężnej biblioteki starodruków i książek naukowych. Mam stamtąd niesamowitą pamiątkę - maleńką rzeźbę, która jest koncentratem hitleryzmu. Powstała pewnie w Norwegii i stąd trafiła do Instytutu Bałtyckiego. Codzienne zadania przydzielał nam na porannej odprawie przed gmachem głównym prof. Kazimierz Kopecki. Był energiczny i stanowczy, tak, że moje pracownice trochę się go bały. Po pracy wychodziliśmy na obiad i do swoich zajęć prywatnych. Tak to sobie dziś przypominam po 50 latach, ale dla lepszego oddania szczegółów tamtych czasów może sięgnę do autentycznych listów, które pisałem z Gdańska.

Oto fragment listu z 20 maja: *"Pracuję na Politechnice, a praca polega na ... przewożeniu książek, czy też przyrządów z piwnic do gabinetów. Bardzo miłe warunki pracy .... Płacić niestety nic nie płacą, dają tylko bon na obiad składający się z talerza kartoflanki z koperkiem i kawałkiem chleba oraz drugiego dania z kartofli i kawałka padliny, która raz nosi nazwę pieczeni, raz befsztyku, a raz gulaszu. W każdym razie jest mięsem. Na święta (to były Zielone Świątki) dostałem deputat nadzwyczajny z 2.5 kg mąki żytniej, 65 dkg mąki pszennej, 1 kg kawy, 1 kg mięsa, 2 kg chleba i 12 kg kartofli."* Kawa była pewnie zbożowa, a może już z UNRRY.

W liście z 23 maja są inne szczegóły, też z restauracji: *"Tyle się tu dzieje rzeczy ciekawych ... i znamiennych. Cywilizuje się powoli ten świat i oto wychodzą takie paradoksy jak ten obrazek, który Ci opiszę. Siedzimy w restauracji, która jest jednocześnie naszą stołówką urzędową (obiad za 1.50 zł). Siedzimy w kilka osób z grona pracowników Politechniki. Jeden z inżynierów przyjechał rowerem i zostawił go przed oknem restauracji ... W lokalu nastrój pogodny, demokratyczny, bo obok panów z PPR siedzą wojskowi, urzędnicy, rosyjscy oficerowie oraz chłopi, którzy jadą na przydzielone im gospodarstwa ... Na sali porozlepiane wzniosłe hasła, snuje się niemiecka obsługa. ... Od kilku dni innowacja: w czasie obiadu przygrywa nam para muzyków złożona*

z pianisty i skrzypka. I od tej muzyki właśnie się zaczęło. Zagrali humoreskę Dworzaka i coś jeszcze. Nastrój, komfort, Europa. Na cześć gości ze wschodu zagrali Wołga, Wołga, Oczy czarne ... Po którymś utworze ruski major zadowolony poklepał muzyków po plecach i ekipa rosyjska opuściła salę. Nagle widzimy przez okno, że pan major ... siada na rower naszego inżyniera i znika za węgłem. Rusza pogoń. Wypadliśmy na ulicę i tu okazuje się, że inżynier był przezorny i zamknął rower na klucz patentowy, tak, że przygoda kosztowała go tylko trzy szprychy. Dopadł szamoczącego się z rowerem majora i odebrał mu go. Zupełnie dziki zachód - z muzyką w porze obiadowej."

I ja miałem swoje perypetie z rowerem. Kupiłem za wódkę, która była najlepszym pieniądzem, rower od żołnierza rosyjskiego. Była to damka przeznaczona w przyszłości dla mojej pani. Jej niezwykłością było to, że cała była niklowana, rama także. I to mnie zgubiło. Mój rower spodobał się dzielnicowemu komendantowi wojskowemu, który kwaterował w budynku na rogu ulic Mickiewicza i Roosevelta. Ja mieszkałem bardzo blisko. Widywaliśmy się stale, bo mieszkańców w tej okolicy było jeszcze niewielu. Zresztą wyróżniał mnie mój rower z niklowaną ramą. Zaczęło się wyraźne polowanie. Umykałem przed wartownikami i patrolami, które chciały mnie zatrzymać, aż któregoś dnia zatrzymali mnie przy przejściu pod torami kolejowymi, bo tamtędy musiałem przemykać się do Politechniki. Rower mi zabrali. Poszedłem śmiało do mojego komendanta z pretensjami. Legitymowałem się wystawioną mi odręcznie przez p. profesorową Janinę Otto "bumagą", że pracuję przy odbudowie Politechniki i należy mi pomagać. Komendant jednak chytrze oświadczył mi, że na mojej legitymacji nie ma stempla głównego "komandira" miasta i, że owszem, odda mi rower, który jest własnością poniemiecką, jak mu przedstawię legitymację ze stemplem. Poszedłem do komendantury głównej. Mieściła się w dzisiejszym Żaku. Przepustki dla interesantów wydawano w pobliskim budynku. Niestety tam mnie odprawiono z kwitkiem. Na Politechnice prof. Franciszek Otto na podstawie swoich doświadczeń ze Lwowa powiedział: to nic, pójdzie pan jutro, będzie inny służbowy oficer i może się uda. Rzeczywiście udało się. Z przepustką pomaszerowałem do gmachu, ale zaraz przy wejściu zatrzymał mnie wartownik, wysłuchał moich wyjaśnień, po rosyjsku nie umiałem, ale jakoś się porozumieliśmy, wziął moją legitymację i przywalił zielony stempel "wpłynęło". Mówię mu, że ja mam dostać okrągłą pieczęć, a on do mnie: a co to (tu brzydkie słowo) nie pieczęć. I kazał się wynosić. Szczęśliwie mojego dzielnicowego i ten stempel wzruszył. Nie spodziewał się, że cokolwiek uzyskam. Powiada więc: "chodź, dostaniesz rower". Wprowadził mnie do pokoju pod sufit pełnego rowerów i powiada: "bierz!". Ja twardo zażądałem swojej damki, ale nie miałem żadnych szans, jeździła na niej flama komendanta, wyciągnąłem więc zwykły z czarną ramą, uznając i to za sukces. Służył nam później długie lata.

Może już dosyć tych rosyjskich przygód. Nie były one treścią mego życia, raczej tylko egzotycznym tłem. Dla tych co mieli poważniejsze funkcje nie było to pewnie tylko tło, a konkretne trudności i nieraz niebezpieczeństwa.

Na Politechnice przybywało pracowników, było już nas kilkanaście osób, zaczęto organizować stołówkę, a ja zostałem aprowizatorem grupy. Mogłem dysponować politechnicznym wozem konnym. Jeździłem do Rady Miejskiej na ulicę 3 Maja po przydziały, daleko za miasto do magazynów po ziemniaki, które wybierały Niemki z przerośniętych i półzgniłych kopców. W Radzie Miejskiej Politechnika miała wielkie poważanie. Nie raz załatwiałem nasze przydziały nawet przed moim odpowiednikiem z Urzędu Bezpieczeństwa.. Kiedyś na jedynym moście nad torami kolejowymi nie chciałem mu wręcz ustąpić wozem przejazdu. Samodzielność i odpowiedzialność jaką obdarzali mnie moi zwierzchnicy powodowała, że rosły mi skrzydła. Niziutko latałem, ale jaki byłem ważny.

W lipcu chyba nastąpiło wysiedlenie Niemców. Moi gospodarze wiedzieli, że ich wysiedlą, ale nie bardzo w to wierzyli, mimo że ich uprzedziłem o terminie. W ostatniej chwili się spakowali, mogli zresztą wziąć tyle ile udźwigną i któregoś dnia odmaszerowali ulicą, obstawioną gęsto naszymi marynarzami. Nawet żal mi ich było, bo zżyliśmy się trochę, mimo że, gdy kiedyś przyszli rosyjscy maruderzy plądrować mieszkanie, to mój gospodarz poprowadził ich prosto do mojego pokoju. Pewnie wiedział, że jest tam trochę wódki i tym ich zneutralizuje. W porównaniu z tym co sam przeżyłem i co się działo w Warszawie i Pruszkowie przy wysiedlaniu powstania, wyjazd Niemców był bardzo humanitarny. Tak to pamiętam. Po odejściu Niemców marynarze

złożyli mi wizytę i oszołomieni moim bogactwem uprzejmie zabrali trochę garnków, naczyń i jedno z dwu żelazek elektrycznych. Mebli nie potrzebowali, a wódki już nie było.

W sierpniu i wrześniu zaczął się już prawdziwy ruch na Politechnice. Brygady kandydatów na studia pracowały przy odgruzowywaniu spalonych gmachów. Przybywali profesorowie ze Lwowa, Lublina, Warszawy. Przyjechał także organizator naszego Wydziału Budowy Okrętów, prof. Aleksander Rylke. Prof. Aleksander Potyrała był już wcześniej, ale zajmował się organizacją Conradinum i PRS. Obu znałem, gdyż byłem ich uczniem w Warszawskiej Szkole Technicznej. Profesor Rylke zgodził się przyjąć mnie na swojego asystenta. Takie były wówczas możliwości. Młodszymi asystentami zostało wielu studentów. Uciekłem w ten sposób od zwierzchnictwa pana Słomy, który został administratorem rozrastającej się Politechniki i któremu miałbym podlegać. Nie był to człowiek, z którym chciałbym być w jednej messie, jak mawiał prof. Aleksander Rylke.

Zaczęła się praca przy organizacji Wydziału. Dziekanat nasz przyjął gościnnie na swoje piętro budynku laboratorium maszynowego prof. Wiśniowskiego z Wydziału Mechanicznego. Tam dziekan Rylke przyjmował zgłoszenia studentów, tam zaczęła pracę jego sekretarka, dziś z nami obecna p. Maria Czyżowa. Ja pomagałem profesorowi i pani Marii w dziekanacie, a także przy urządzaniu katedry projektowania okrętów w zachowanych lokalach skrzydła Gmachu Głównego na trzecim piętrze. Tam organizował się cały Wydział.

Jak państwo pewnie zauważyli, cały czas do tej pory mówię o pracy na Politechnice. Bo też w tych początkach moja historia stricte studencka zaczęła się na samym końcu. Zostałem przyjęty na drugi rok studiów, razem z sześćdziesięcioma innymi kolegami, ponieważ mogliśmy się wylegitymować odbytym już pierwszym rokiem. Ja miałem za sobą rok wojennej Politechniki Warszawskiej. Wykłady na drugim roku rozpoczęliśmy w listopadzie 1945 r. W październiku rozpoczęło studia prawie dwustu okrętowców na roku pierw-szym. Po przerwie zimowej ruszył rok trzeci, na który przyjęci zostali głównie przedwojenni studenci okrętownictwa niemieckiej jeszcze Politechniki

Teraz powinienem zacząć opowiadać państwu wreszcie o początkach życia studenckiego, ale ja oprócz egzaminów, wykładów i ćwiczeń niewiele miałem czasu na życie studenckie. Już więcej mógłbym powiedzieć o początkach pracy Wydziału, bo nadal byłem głównie pracownikiem Politechniki. Nawet czapki studenckiej, wówczas modnej, nie nosiłem, bo moja przyszła żona uznała, że nie przystoi to prawie żonatemu mężczyźnie, na stanowisku. Nosiłem za to parasol. Drugi miał tylko prof. Józef Wysocki. Na tym więc skończę swoją opowieść "jak zaczynałem życie politechniczne".

Jerzy Wiśniewski





"... Chwila którą przeżywamy jest chwilą epokową ..."

Swoistym, jakże wzruszającym uzupełnieniem powyższych wspomnień doc. Jerzego Wiśniewskiego jest szczęśliwie zachowany tekst przemówienia inauguracyjnego prof. inż. Aleksandra Rylke, wygłoszonego na Wydziale Budowy Okrętów w październiku 1945 r.

Chociaż dane mi było w życiu przeżywać chwile głębokich wzruszeń, to jednak w tej chwili, gdy w charakterze dziekana Waszego Wydziału staję tu przed Wami, ogarnia mię wzruszenie szczególniejsze.

Chwila ta jest bowiem naprawdę wyjątkowa. Bez przesady możemy nazwać ją chwilą epokową. Bo, czyż nie otwiera nowej epoki chwila, gdy w tysiącletnich dziejach naszego Państwa po raz pierwszy mają paść słowa, rozpoczynające przed polską młodzieżą akademicką, na polskiej uczelni wyższej, systematyczne studium nauki, której zakończeniem ma być po upływie lat czterech wydanie pierwszych polskich dyplomów inżynierskich budownictwa okrętowego i budowy maszyn okrętowych.

Gdy zechcecie wejść głębiej w treść mych słów, to sądzę, zrozumiecie przyczyny mego wzruszenia, a zrozumiawszy je, sami mu niewątpliwie ulegniecie.

Mówię, iż chwila którą przeżywamy jest chwilą epokową. Czy jest chwilą radosną? Mogłaby ona nią być, i byłaby na pewno, gdybyśmy, zebrani tu razem, nie odczuwali zarazem głębokiego żalu, wywołanego wspomnieniem wszystkich tych naszych rodaków, bliższych nam osobiście, czy dalszych, którym dożyć tej chwili nie było dane.

A wszak wszyscy oni, każdy na swym stanowisku, przyczynili się do tego, iż my tu właśnie, w tych to właśnie murach i na tym tu miejscu możemy dziś się zebrać i początek owego, nowego u nas kierunku nauk, zainaugurować.

Zanim więc my, żywi bojownicy sprawy Polski Odrodzonej, do boju na naszym odcinku wystąpimy, schylmy czoła przed bojownikami już odeszłymi, i niech każdy z nas ślubuje przed nimi, że dorobku ich nie zmarnuje, a przeciwnie, ze wszystkich sił i możliwości swoich walczyć będzie na tej nowej placówce pracy o to samo, o co walczyli i za co polegli oni.

Jeśli rozpoczynając z Wami naukę naszego zawodu na wyższej uczelni technicznej - naukę techniczną, nie mającą nic wspólnego z dziedziną uczuć - mimo to potrąciłem o struny uczuciowe, to uczyniłem to zupełnie świadomie.

Gdy ukończycie bowiem studia, rozpoczniecie pracę zawodową, to praca ta przebiegać będzie nie w jakimś środowisku abstrakcyjnym, ale w środowisku ludzi - przede wszystkim w środowisku bezpośrednich wykonawców tego, co wasz umysł inżynierski stworzy i opracuje.

Będzie to, jak powiedziałem, środowisko ludzi - ludzi żywych, którzy na Was patrzeć będą jak na swoich przeciwników. Ci ludzie żywi będą właśnie ludźmi żywymi, a nie mechanizmami wykonującymi te, czy inne czynności. Ci ludzie, jako ludzie żywi, będą - jak wy sami - będą mieli swoje obowiązki, ale obok nich też i swoje troski i smutki. Otóż, mając to na względzie, już teraz nawołuję Was, byście kształcąc umysł, kształcili i swe serca, przygotowując je do tego, by nie oschło i nie oziębło ono, ale przeciwnie, by wzrastało w mocy, w mocy umiłowania nie tylko obranego przez Was kierunku pracy, ale i tych wszystkich, którzy Wasze poczynania będą kiedyś realizować.

Aleksander Rylke



MAKSYMILIAN TYTUS HUBER I TEORIA WZGLĘDNOŚCI

Mogłoby się wydawać, że o profesorze Huberze wiemy już wszystko. Liczne artykuły, wspomnienia, hasła w encyklopediach i leksykonach a nade wszystko prace samego profesora, jego uczniów i współpracowników, zawierają ogromne bogactwo informacji o przebiegu jego kariery naukowej i najważniejszych osiągnięciach. Jak się jednak okazuje w tym materiale istnieją luki. Jedną z nich jest stosunek prof. Hubera do teorii względności i rola jaką odegrał w jej popularyzacji.

Zestawmy chronologię wydarzeń poprzedzających opisywaną działalność. Maksymilian Tytus Huber urodził się w 1872 r. w Krościenku nad Dunajcem. Początki jego kariery naukowej wiążą się z Politechniką Lwowską, którą ukończył w 1895 r. z opinią "znamienicie uzdolnionego". Jeszcze w czasie studiów został asystentem. W 1903 r. doktoryzował się na podstawie rozprawy "Przyczynek do teorii stykania się ciał sprężystych". W tym samym roku sformułował swój słynny "warunek plastyczności" przyjmując energię odkształcenia postaciowego za miarę wytężenia materiału. Od 1908 r. był profesorem Politechniki Lwowskiej, która w latach 1914 i 1921 wybrała go na rektora.

Albert Einstein urodził się w 1879 r. w Ulm nad Dunajem. Po studiach na politechnice w Zürichu od 1901 r. publikował prace naukowe - początkowo z termodynamiki i mechaniki statystycznej. W 1905 r. (w wieku 26 lat!) ogłosił trzy rozprawy zmieniające oblicze współczesnej fizyki. Pierwsza z nich przyniosła kwantowe wyjaśnienie zjawiska fotoelektrycznego, druga przedstawiła oryginalną teorię ruchów Browna, a trzecia, zatytułowana "O elektrodynamice ciał będących w ruchu", obwieściła światu szczególną teorię względności. W 1909 r. Einstein został profesorem uniwersytetu w Zürichu, w 1911 r. w Pradze, w 1912 profesorem politechniki w Zürichu, a w 1914 - dyrektorem Instytutu Fizycznego Cesarza Wilhelma w Berlinie. Tutaj w 2 lata później narodziła się ogólna teoria względności. Wbrew rozpowszechnionym poglądom teoria względności nie była oderwaną od rzeczywistości myślową spekulacją, lecz opierała się na mocnych podstawach doświadczalnych i obserwacyjnych. Początkowy sceptycyzm ustąpił miejsca entuzjazmowi - zwłaszcza po efektownym potwierdzeniu niektórych jej przewidywań w czasie zaćmienia słońca w 1919 r. Einstein zyskał sobie wielką popularność ale i wielu wrogów; m. in. powstało nawet "naukowe" towarzystwo antyeinsteinowskie! Dzisiaj żaden poważny uczony nie wątpi w słuszność teorii względności, wielokrotnie potwierdzonej i znajdującej szerokie zastosowania, ale wtedy, na początku lat dwudziestych było inaczej. Konieczne było uprzystępnienie teorii. Zajął się nim sam Einstein, który już w 1916 r. opublikował popularny wykład.

Do nielicznych wówczas uczonych nie-fizyków, którzy rozumieli i fascynowali się teorią względności, należał Maksymilian Tytus Huber. Już w 1920 r. ukazała się napisana przez niego broszura "Albert Einstein i jego Teoria". W rok później wygłosił w Związku Naukowo-Literackim we Lwowie szereg odczytów na temat teorii względności, opublikowanych później w Słowie Polskim" w postaci "fejletonów". Jednocześnie w tym samym kulturalnie redagowanym lwowskim dzienniku ukazało się studium Zygmunta Zawirskiego, późniejszego profesora Uniwersytetu Poznańskiego i Jagiellońskiego p.t. "Fizy-

kalna teorja względności a relatywizm filozoficzny". Zainteresowanie musiało być spore, bo wkrótce Książnica Polska wydała "przystępny wykład" Einsteina p.t. "O szczególnej i ogólnej teorii względności". Na tytułowej stronie czytamy: "z upoważnienia autora przełożył z 11-go (!) wydania oryginału inż. dr. M. T. Huber, profesor Politechniki Lwowskiej." W 1922 r. ukazało się "wydanie drugie, przejrzane i uzupełnione djalogiem o zarzutach przeciwko teorji". Tłumacz zaopatrzył książkę przedmową, której obszerne fragmenty pozwalam sobie poniżej zacytować w nadziei, że zainteresują Czytelników.

"Dopiero w dwa lata po zakończeniu wojny światowej i zapewne dzięki szczęśliwemu odparciu grożącej nam nawały ze wschodu, objawiło się u nas większe zainteresowanie t.zw. teorją względności, teorją, która już pięć lat temu przedstawiła zwartą, zaokrągloną całość najogólniejszej teorji fizykalnej, jaką kiedykolwiek stworzono. Że to zainteresowanie przekroczyło nawet znacznie zwykłą miarę i objawiło się tu i ówdzie namiętną ciekawością, do jakiej sfery uczonych nie nawykły, gdy idzie o wyniki czystej wiedzy, bez praktycznego zastosowania, to bez wątpienia zawdzięczać należy pewnemu zbiegowi okoliczności, który niestety, czy też może na szczęście, trąci grubą senzacją.(...).

Jednak wówczas, tak i teraz zaznaczyć muszę, że należę od dawna do najbardziej przekonanych relatywistów. Tak nazywają zwolenników nowej teorji, co dowodzi, że ma ona także i przeciwników, walczących niestety nie tylko pod nieskalanym hasłami wojennymi sztandarem czystej wiedzy. Wspomnę przytem, dla uniknięcia nieporozumień, że fizykalna teorja względności powstała niezależnie od relatywizmu filozoficznego, którego wyznawców również zowią relatywistami. Równolegle z zainteresowaniem się nową teorją przez inteligentny ogół, mnożą się utyskiwania na jej trudność i nieprzystępność. Oczywiście ci, którzy jej nie rozumieją, dość pochopnie przechodzą w szeregi "przeciwników" teorji, chroniąc się pod skrzydła stosownego filozoficznego systemu, lub czepiają się za poły niektórych (nielicznych zresztą) badaczy-fizyków, zapatrujących się dotąd jeszcze sceptycznie na teorję względności. Szczególnie często słyszy się od takich malkontentów znany, a pozbawiony podstaw ogólnik, że wszelkie wielkie odkrycia naukowe odznaczały się prostotą, a więc i przystępnością. A przecież minęło przeszło pół wieku od powstania maxwellowskiej elektromagnetycznej teorji światła, jednego z najdonioślejszych czynów naukowych ubiegłego stulecia; i dotąd podstawy tej teorii nie weszły do nauczania w zakresie szkół średnich. Czyż bowiem można ją przedstawić jasno i zrozumiale dla umysłu niematematycznego? Natomiast historja wiedzy poucza, że epokowe zdobycze myśli ludzkiej spotykały się zwykle z namiętną opozycją współczesnych. Tak się rzecz ma i z teorją względności, do czego przyczyniły się jeszcze pewne szczególne momenty natury psychologicznej." Z kolei następuje życiorys Einsteina, który jak wiadomo *"w roku 1902 objął posadę w związkowym urzędzie patentowym w Bernie"*. Tutaj dorzuca Huber interesującą informację: *"Z owych czasów pamięta go dobrze prof. I. Mościcki, który się z nim stykał z okazji swych znanych doniosłych wynalazków elektrotechnicznych i podziwiał bystrość umysłu młodego uczonego"*. Pisząc nieco dalej o wielkiej sławie, jaką Einsteinowi przyniosła ogólna teoria względności, autor dodaje: *"Ale te róże sławy nie były bez kolców, kłujących dotkliwie wielkiego reformatora fizyki w okresie likwidacji wielkiej wojny. Jego pojednawcze stanowisko w imię międzynarodowości czystej wiedzy, a poczęści także jawna niechęć niektórych uczonych minorum gentium, nierozumiejących poprostu teorji względności, doprowadziły nawet do wybuchów wrogich demonstracji przeciw niemu. Można je zrozumieć na tle ogólnego zdziczenia wojennego i - w myśl francuskiego przysłowia - wybaczyć pruskim nacjonalistom, wyładowującym w paroksyzmach antysemityzmu wściekłość z powodu wojennej klęski Niemiec. Atoli jednocześnie niepodobna być obojętnym na tego rodzaju objawy u nas, grożące zbyt poważnem niebezpieczeństwem dla naszej kultury naukowej. Do czegóżby doprowadziło patrzenie na zdobycze wiedzy przez pryzmat uprzedzeń rasowych lub narodowych?"*

Kontynuując, profesor zadaje dramatyczne pytanie *"Ależ na miłość boską, Panowie, co może mieć wspólnego teorja fizykalna z żydowskim niebezpieczeństwem?!"* A z odsyłacza dowiadujemy się, że do antyeinsteinowskiej nagonki włączyli się nawet niektórzy sławni publicyści: *"Ostatnim znanym mi psychopatycznym objawem na tle zainteresowania się twórcą teorji względności w naszej prasie był artykuł p. Adolfa Nowaczyńskiego w "Rzeczypospolitej" (Nr 179 z r. 1921). Ostrze zjadliwej satyry ma tutaj trafiać rzekomą "światową reklamę" Eisteina. W liście do redakcji wykazałem zaraz jak bezpodstawne są zarzuty świetnego*

fejletonisty, który oczywiście dotyka bardzo ostrożnie samej rzeczy; wskazałem także na moje artykuły i broszury załączając odbitki. Zupełne milczenie, jakie pokryło tę interwencję jest wielce charakterystyczne dla ogólnego poziomu naszej prasy. Coś podobnego nie da się pomyśleć w prasie zachodnio-europejskiej, która w takich przypadkach sama się zwraca do ludzi nauki z prośbą o popularne artykuły w aktualnych kwestiach naukowych. U nas inaczej!" Swoją drogą jak my to dobrze znamy! Ciekawe, co by powiedział prof. Huber o naszych obecnych mediach, specjalizujących się w zachwalaniu tandety i propagowaniu pseudonauki?

Z cytowanej przedmowy dowiadujemy się jeszcze o wykładach autora w Polskim Towarzystwie Przyrodniczym im. Kopernika we Lwowie w "styczniu b.r." (1922), które wyszły drukiem jako odbitki z "Kosmosu" p.t. "Czas, przestrzeń, materja i kosmos w świetle einsteinowskiej teorji względności".

Warto jeszcze przytoczyć piękne zakończenie: "*Ta książeczka nie może (...) służyć za poobiednią lekturę nawet dla umysłu wcale dobrze przyrodniczo wykształconego, ale za to dostarczy czytelnikowi, nie szczędzącemu myślowego trudu, takich prawie chwil głębokiej duchowej rozkoszy, jakich doznaje badacz, któremu się powiodło podpatrzeć jakąś wielką tajemnicę Przyrody. Niełatwą zaiste jest ścieżka, wiodąca na szczyty teorji względności, którą nas prowadzi jej twórca, ale któż, jeśli nie on sam, oświetli lepiej ten wspaniały jednolity obraz świata, jaki się ukazuje z owych szczytów oczom naszego ducha.*

Literatura relatywistyczna rośnie zagranicą jak lawina i wiele jeszcze publikacji z tej dziedziny warto będzie wydać w naszym języku. Oby niniejsza zrobiła dobry początek i przełamała lody naiwnych uprzedzeń i pseudofilozoficznych przesądów na pożytek naszej kultury naukowej w odrodzonej i zjednoczonej Ojczyźnie."

Słowa profesora do dziś nie straciły aktualności. Wystarczy przeczytać lub posłuchać, co nasze media wyplatają np. o zeszłorocznej nagrodzie Nobla z fizyki, by uświadomić sobie, jak bardzo potrzebni są dzisiaj dobrzy fachowi popularyzatorzy nauki. Wzorem takiej działalności był wielki wszechstronny uczony Maksymilian Tytus Huber.

Andrzej Januszajtis



Prof. Maksymilian Tytus Huber wśród studentów Wydziału Budowy Okrętów w roku akademickim 1946/47

WSPOMNIENIE O PROFESORZE JERZYM RUTECKIM

Non omnis moriar - nie wszystek umarłem. Zgodnie z potocznym przekonaniem dewiza ta szczególnie odnosi się do uczonych. Niestety! Nie wszystkich traktuje jednakowo pod tym względem. Trwałość pamięci o człowieku zależy bowiem nie tylko od dokonanych zasiewów, ale przede wszystkim od uczestnictwa w żniwach. Profesor Jerzy Rutecki żniw nie doczekał. Żył krótko, bo tylko pięćdziesiąt jeden lat i zmarł dawno, bo prawie trzydzieści lat temu (31 marca 1967 roku). A w naukach technicznych czas biegnie błyskawicznie i dawne dokonania, nawet doniosłe, bardzo szybko stają się wyblakłe i przestaje się o nich pamiętać.

W pamięci studentów, uczniów i współpracowników pozostawił jednak trwały, serdeczny ślad. Tylko, że są to już ludzie w zaawansowanym wieku. A warto pamięć o tej postaci przywrócić także i pokoleniom następców.

Kim zatem był i jaki On był? Czy też lepiej: co pozostało z pamięci o Nim?

Wspomnienie piszę wyłącznie od siebie. Niech zatem współuczestnicy dawnych zdarzeń wybaczą nieścisłości, jakie niewątpliwie pojawią się w tekście.

Jerzy Rutecki urodził się 20 marca 1916 roku. Studia rozpoczął przed wojną na Wydziale Mechanicznym Politechniki Warszawskiej. Podczas okupacji kontynuował naukę utrzymując kontakty z profesorami Politechniki, między innymi z profesorem Maksymilianem T. Huberem. Studia ukończył po wojnie w Politechnice Gdańskiej. Pracę naukową rozpoczął w 1945 roku w Katedrze Wytrzymałości Materiałów i Wyższych Zagadnień Mechaniki Politechniki Gdańskiej jako młodszy asystent, przechodząc kolejno wszystkie stopnie nauczyciela akademickiego.

W roku 1951 uzyskał stopień doktora nauk technicznych, w roku 1955 stanowisko zastępcy profesora, a w roku 1954 stanowisko (stopień!) docenta. Tytuł profesora nadzwyczajnego uzyskał w roku 1963. Od roku 1955 był kierownikiem Katedry. Jednocześnie był zatrudniony w Zakładzie Mechaniki Ośrodków Ciągłych Instytutu Podstawowych Problemów Techniki Polskiej Akademii Nauk w Warszawie.

Wspomnieć wypada, że profesor Rutecki przejął Katedrę, której twórcą był profesor Maksymilian Tytus Huber - zresztą promotor Jego rozprawy doktorskiej - postać pomnikowa w historii polskiej nauki, uczony o światowym nazwisku (jako anegdotę należy podać, że w sowieckiej literaturze gęsto cytowanego Maksymiliana T. Hubera opisywano w tekstach jako "lwowskij profiessor Gubier", w ogóle nie wspominając o jego polskim pochodzeniu). Także następca profesora Mmaksymiliana T. Hubera - profesor Jarosław Naleszkiewicz był postacią nietuzinkową, jako współtwórca polskiego przemysłu lotniczego przed II wojną, a także szeroko znany jako twórca w dziedzinie teorii drgań i stateczności sprężystej. Profesor Jerzy Rutecki dzieło swoich poprzedników skutecznie kontynuował w coraz to trudniejszych warunkach pracy i bytowania.

Do najważniejszych osiągnięć uczonego należy stworzenie zastępu uczniów. Do uczniów Profesora wypada w pierszej kolejności zaliczyć Jego doktorantów. Należeli do nich: profesor Jan Kruszewski-Majewski z Politechniki Gdańskiej, profesor Ferdynand Twardosz z Politechniki Poznańskiej, profesor Zbigniew Zaczek z Akademii Marynarki Wojennej i Politechniki Gdańskiej, profesor Jerzy Raczkowski od wielu lat wykładający na uniwersytetach w

USA, a także niżej podpisany (Wiktor Adamkiewicz), któremu udało się dożyć stanowisk profesora zwyczajnego w Politechnice Gdańskiej i Wyższej Szkole Morskiej w Gdyni; a także docent Jan Stankiewicz z Akademii Marynarki Wojennej i Wyższej Szkoły Morskiej w Gdyni oraz docent Zenon Głażewski, długoletni kierownik Katedry po Profesorze.

Należy także wspomnieć, że za czasów profesora J. Naleszkiewicza zespół aspirantów Katedry (był kiedyś taki sposób realizacji prac doktorskich, nazywanych wówczas "kandydackimi") pozostawał pod opieką ówczesnego docenta Jerzego Ruteckiego. Z tego zespołu wywodzą się na przykład: profesor Józef Więckowski, Członek Rzeczywisty PAN, pierwszy Prezes Gdańskiego Oddziału PAN, profesor Marian Kmiecik z Politechniki Szczecińskiej oraz profesor Janusz Kowalik od wielu lat wykładający w Seattle University w USA. Był to plon krótkich dwunastu lat kierowania Katedrą.

Przy takiej okazji może warto przypomnieć obyczaj tworzenia "drzew genealogicznych"? Szczycono się nimi także w sferach naukowych. Bardzo byłoby sympatycznie, moim zdaniem, gdyby nasi młodzi profesorowie zechcieli w ten właśnie sposób zachować pamięć o swoich poprzednikach. Przynajmniej o niektórych.

Pozwolę sobie zatem w tym miejscu nadmienić, że aktualnie miłościwie nam panująca Magnificencja Profesor Edmund Wittbrodt jest "prawnukiem naukowym" wielkiego Maksymiliana T. Hubera. Z uwagi na sekwencję promotorstwa: profesor Maksymilian T. Huber > profesor Jerzy Rutecki > profesor Jan Kruszewski-Majewski > profesor Edmund Wittbrodt. Zatem profesor Jerzy Rutecki jest Magnificencji "dziadkiem naukowym".

Dla współczesnego czytelnika wspomniane osiągnięcia mogą wydawać się standardowym postępowaniem młodego profesora. Dzisiaj podobnymi osiągnięciami legitymuje się wiele osób. Wówczas jednakże, w dziedzinie nauk technicznych, nie wiązało się kariery naukowej z koniecznością zdobywania stopni naukowych. Wielu wybitnych uczonych i znakomitych profesorów nie legitymowało się stopniem doktora.

Profesor Rutecki należał do nielicznej grupy osób, które wyprzedziły obligatoryjne tendencje w tym zakresie, wprowadzone ustawowo na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. W tej Katedrze doktoranci zdobywali stopnie naukowe, gdy w wielu innych ten proces dopiero był rozpoczynany.

Specjalnością naukową Profesora była mechanika i stereomechanika ustrojów cienkościennych, jak to wówczas określano. Była to nowa i szybko rozwijająca się dziedzina mechaniki ośrodków ciągłych, związana z bieżącymi potrzebami praktyki technicznej. Dotyczyła bowiem nowoczesnych konstrukcji hal fabrycznych i innych budynków użyteczności publicznej, budowy samolotów i rakiet, a w przyszłości także samonośnych karoserii samochodowych (bez ciężkich ram podwoziowych) - co dzisiaj jest standardem. W pewnym zakresie pożyteczną stała się także w budowie okrętów. Piszący te słowa nie potrafi ocenić jaki wpływ wywarły publikacje Profesora na dalszy rozwój tej dziedziny nauki.

Spośród opublikowanych opracowań wypada jednakże wymienić przynajmniej monografie:

- Rutecki J. *Teoria skręcania cienkościennych profili.* PWN, Poznań 1954 (182 strony, tablice).
- Rutecki J. *Wytrzymałość konstrukcji cienkościennych.* PWN, Warszawa 1957 (355 stron, liczne rysunki).
- Rutecki J. *Cienkościenne konstrukcje nośne. Obliczenia wytrzymałościowe.* PWN, Warszawa 1966 (553 strony, liczne rysunki i tablice).

Autor tych opracowań, wypełnionych rozważaniami matematycznymi, miał świadomość swego inżynierskiego posłannictwa. Mocne słowa na ten temat płynęły wówczas ze wszystkich katedr politechnicznych i adresowane były do studentów. Wykładowcy mówili o społecznej roli inżynierów w nowoczesnym świecie. Nie miało to wiele wspólnego z późniejszym, socjalistycznym "etosem oficerów produkcji".

Profesor Rutecki zamierzał więc doprowadzić wyniki swoich badań do postaci przydatnej dla praktyki technicznej. Był uzdolnionym doświadczalnikiem. Świadczą o tym Jego oryginalne pomysły doświadczalnego sprawdzania uzyskanych rezultatów teoretycznych. Ślady tego są widoczne - szczególnie w trzeciej monografii.

Ciekawe też były pomysły służące wielu ekspertyzom, na które w tamtych latach było ogromne zapotrzebowanie. Wymienić tu można obliczenia pontonów, służących do podnoszenia wraków wielkich okrętów - np. pancernika Gneisenau, który tarasował wejście do portu w Gdyni. Podobną ciekawostką techniczną było "rozstrzeliwanie" kineskopów telewizyjnych celem uzyskania informacji o dynamice odłamków podczas implozji kineskopu. Było to potrzebne do zaprojektowania osłon dla robot-

ników w fabryce telewizorów, a były to skromne początki takiej produkcji w Polsce.

Warto nadmienić, że swoją działalność Profesor traktował bardzo serio i jej właśnie, oprócz działalności dydaktycznej był podporządkowany rytm pracy w Katedrze. Wszyscy wiedzieli, że gdy rozwiązywał kolejne z zadań należało się spodziewać, po zapukaniu do jego gabinetu, sformułowania "proszę mnie nie przeszkadzać, bo ja mam robotę!".

We wspomnieniach studentów Profesor pozostał jako wzór wykładowcy. Trzeba przyznać, że niewielu potrafiło w tak uprządkowany sposób prowadzić wykłady z trudnego teoretycznego przedmiotu. Wyprowadzenia wzorów były zanotowane na tablicy bardzo czytelnym, równym pismem wraz z niezbędnymi komentarzami. Szczególną zazdrość budziły natomiast Jego rysunki, odręcznie wykonywane kredą na tablicy. Po wykładzie studenci próbowali sprawdzać, za pomocą cyrkla, dokładność odręcznie narysowanego np. "koła Mohra". Później, podczas przerwy, niektórzy wytrwale trenowali odręczne rysowanie kół na tablicy, naśladując swego wykładowcę.

Dawni absolwenci Szkoły Morskiej do dziś wspominają, jak to doktor Rutecki, w ramach szkoły pomaturalnej nauczył ich wytrzymałości materiałów w taki sposób, że na tej podstawie bez trudów zdawali odpowiednie egzaminy w Politechnice. Kilka dni temu (styczeń 1996) podobną opinię usłyszałem od profesora Andrzeja Perepeczki, długoletniego dziekana Wydziału Mechanicznego Wyższej Szkoły Morskiej W Gdyni i znanego pisarza-marynisty, przy okazji dyskusji o aktualnym "etosie" niektórych wykładowców. Podobnie mówili absolwenci "Conradinum". Profesor wykładał w obu tych szkołach na zasadzie "drugiego miejsca pracy" - po prostu "dla chleba".

Profesora Ruteckiego poznałem, jak to się dzisiaj elegancko mówi "na gruncie profesjonalnym", w dniu 1 października 1952 roku - rozpoczynałem wówczas trzeci rok studiów inżynierskich (szósty semestr). Chyba warto o tym wspomnieć, także celem scharakteryzowania atmosfery w ówczesnych Katedrach. Przedtem, oczywiście, znałem Go też jako swego wykładowcę. Byłem już także asystentem-wolontariuszem (co formalnie oznacza "na zleceniu") w II Katedrze Matematyki u profesora Bronisława Czerwińskiego. Pracę tę zawdzięczałem temu, że w ciągu trzech semestrów słuchania matematyki wszystkie comiesięczne kolokwia ustne z teorii zdawałem na "5" - wśród kilku innych podobnych osób.

Tymczasem, w Katedrze Wytrzymałości Materiałów i Wyższych Zagadnień Mechaniki wakował etat asystenta. Było tak, ponieważ kierownik Katedry profesor Jarosław Naleszkiewicz zatelefonował do Działu Kadr i powiedział ("po przedwojennemu"), że zwolnił z pracy pana takiego-to-a-takiego, ponieważ opuścił on trzy razy zajęcia dydaktyczne. Dodać wypada, że zapędy dyktatorskie władzy mieszały się wówczas jeszcze z bałwochwalczym szacunkiem w stosunku do uczonych, co niedługo potem minęło z nawiązką. Zdarzyło się też, że profesor Czerwiński powiedział o takim smarkaczu, który lubi tę pracę, ale on nie ma etatu a pieniądze na prace zlecone właśnie się skończyły.

Profesor Naleszkiewicz zaangażował mnie na pełny etat zastępcy asystenta z zawrotnym uposażeniem 500 zł miesięcznie, co pozwoliło mnie i mojej dziewczynie (a obecnie żonie od - przepraszam - czterdziesu trzech lat) przeżyć okres studiów bez nadmiernego głodowania. Poświęcił następnie, mojej skromnej osobie (miałem wówczas 20 lat), swoje profesorskie przedpołudnie, opowiadając o swoich studiach w Politechnice Warszawskiej, w paryskiej Sorbonie, omawiając doktorat, habilitację (którą posiadał jako jeden z dwu profesorów ówczesnej Politechniki), i w ogóle co mnie czeka, jeżeli wejdę na naprawdę ciernistą drogę. Po czym przekazał mnie w ręce swojego adiunkta, doktora Ruteckiego.

Doktor Rutecki w równie szczegółowy sposób omawiał sposób prowadzenia zajęć, dodając: "może Pan mnie zlekceważyć, może Pan spóźnić się na spotkanie ze mną, ale nie wolno, w żadnym wypadku, okazać lekceważenie studentom". W natępnych tygodniach cierpliwie uczestniczył w prowadzonych przeze mnie ćwiczeniach, omawiając później każde sformułowanie, sposób pisania na tablicy itp.

Byłem jednak studentem. Miałem swoje kłopoty z zaliczeniami, kolokwiami itp. Wstydziłem się o tym mówić. On jednak o tym wiedział. Starał się pomóc. Zamykał mnie w bibliotece katedry - dosłownie "na klucz". Kazał uczyć się. Sam natomiast prowadził w tym czasie moje ćwiczenia. Taki właśnie był.

W okresie doktoryzowania już nie udzielał pomocy osobiście. Uważał, że to musi być praca wykonana całkowicie samodzielnie. Natomiast nie pozwalał angażować doktoranta do wszelakich "asystenckich" prac pomocniczych. Po obronie pracy doktorskiej urządzał u siebie w domu przyjęcie dla doktoranta z rodziną i ...zarządzał ogólny "bruderszaft". Pa-

miętam, że był to dla mnie duży szok - nie wiedziałem potem jak odnosić się do Profesora "Jurka" w Katedrze. A przyjaźń pomiędzy rodzinami przetrwała do dzisiaj ...

Bardzo trudno podać charakterystykę wybitnego człowieka po wielu, wielu latach. Trudno także o tych sprawach pisać bez emocji. Wypada może także dodać, że profesor Rutecki był uczonym o bardzo szerokich horyzontach zawodowych, z czym zresztą publicznie nie "afiszował się". Miał więc bardzo krytyczny, inżynierski wręcz stosunek do dziedziny wiedzy, w której był wybitnym specjalistą. Najbardziej zaufanym swoim uczniom mówił o tym bardzo szczerze. Dowodem może być to, że namawiał trzech swoich kolejnych doktorantów do podejmowania trudu tworzenia nowych specjalności inżynierskich, gdy Rada Wydziału wystąpiła z taką inicjatywą. Do tego grona także i ja należałem. Profesorowi zawdzięczam podjęcie prac nad utworzeniem specjalności studiów z zakresu maszyn przemysłu spożywczego i odpowiedniego zakładu naukowego. Przyznać muszę, że po obronieniu doktoratu z wyróżnieniem pomysł taki był dla mnie szokujący.

O człowieku świadczy także sposób Jego odejścia. Profesor Rutecki bardzo długo umierał w pełni świadomości. Na tyle, na ile to tylko było możliwe, nie tracił jednak pogody ducha. Moja żona do dzisiaj wspomina pytanie: "Masz czarną kieckę?" - Nie. "No to jak Ty mnie będziesz żegnać? Tak na kolorowo?" Do ostatnich miesięcy, a nawet tygodni, starał się być aktywny zawodowo. Osierocił czwórkę dzieci, które później polskie losy rozrzuciły po świecie.

Wiktor H. Adamkiewicz



Prof. Jerzy Rutecki wśród współpracowników przed Katedrą Wytrzymałości Materiałów, kwiecień 1953

EPISTULA LATINA

LIST PO ŁACINIE

Mija niemal 50 lat od czasu, jak między Oliwą a Bydgoszczą kursowały listy, pisane poprawną łaciną. Była to korespondencja pomiędzy dwoma studentami pierwszego roku Politechniki Gdańskiej, Stankiewiczem - wilniukiem a Sawickim - pomorzakiem.

Zetknęliśmy się w maju 1945 roku jako uczniowie tej samej klasy maturalnej I Państwowego Liceum i Gimnazjum Męskiego w Bydgoszczy, przy ul. Sowińskiego. Na lekcjach języka łacińskiego rychło okazało się, że przedmiot ten nie sprawia nam trudności, co więcej - obaj bardzo go lubimy. Maturę uzyskaliśmy latem tegoż roku.

Po wielotygodniowej przerwie spotkaliśmy się niespodzianie w tramwaju z Wrzeszcza do Oliwy. Wracałem właśnie po zajęciach na Politechnice, gdyśmy się spostrzegli. On studiował architekturę, ja elektrotechnikę, ale mieszkaliśmy blisko siebie. Rychło zatem złożyłem Mu pierwszą wizytę w mieszkanku na poddaszu, które zajmował razem ze swoją Matką.

Szybko okazało się, że obaj zbieramy nieostemplowane polskie znaczki pocztowe, a w owym czasie nie było jeszcze abonamentów filatelistycznych - zatem zdobycie wydania okolicznościowego było w dużej mierze wynikiem wytrwałości w poszukiwaniach i szczęśliwego trafienia do zwykłego okienka w urzędzie pocztowym. Byłem niejako "uprzywilejowany" w tym małym zespole, bo co dwa, trzy tygodnie na sobotę i niedzielę jeździłem do Bydgoszczy, do Rodziców. Moja Mama też zbierała znaczki i miała nawiązaną znajomość z panną Kuhlówną, pracującą w okienku głównego urzędu pocztowego przy ul. Jagiellońskiej. Dzięki temu dość często udawało się zdobyć jakąś poszukiwaną nowość - oczywiście dla nas obu.

Przyszło pierwsze powojenne Boże Narodzenie. Zajęcia na uczelni przerwano wcześniej, gdyż system centralnego ogrzewania był nieczynny i np. w Audytorium Maximum woda do ścierania tablicy zamarzała. Pierwszy spostrzegł to kolega Jerzy Kawałkowski, który podczas przerwy pokazał wszystkim fajansowy talerz z przymarzniętą szmatką i powiedział "Corpus delirii"! Uruchomienie systemu centralnego ogrzewania zajęło sporo czasu, wobec czego semestr letni zaczął się z dużym opóźnieniem. Ja ten czas wakacyjny spędzałem w Bydgoszczy, a kontakt nasz utrzymywany był w drodze korespondencyjnej. Po łacinie pisywaliśmy obaj. Ostatnio odnalazłem odpisy tamtej korespondencji, z której wybrałem najciekawszy fragment. Przedstawiam go zarówno w oryginale jak i w przekładzie. Daty były określane według kalendarza rzymskiego tj. "od założenia Miasta", więc przełożyłem je na zapis obecny.

Mi amice! Bene es, si tu vales
Nam valetudo - scis - vere pulchra res,
Sed ego morbo sum duplici
Tactus, desertus nunc ab amicis

Et a propinquis - aeger, misserimus ...
Set qualis morbus? Dicam, si vis. Nec plus,
Nec minus, tantum: est morbus talis
Horridus atque, eheu, fatalis:
Com heri noctu morpheos humeris
Dormiebam dulce, nesciens - digitis
Aureis Musa me tetigit.
Nuns me poesia semper affligit

Secunda morbi pars est horridior
Causa est etiam tremere meum cor:
"Feriarum - nomen eius - finis".
Ergo sum tristis, ut canus cinis.

Non legam, Georgii, has pulcherrimas
Cartas --- latine --- eas machina scriptas,
Non littam tibi suum "Filium",
Somniorum omnium mortuum ilium.
Musea vasta magna nostra
Numquam tonabunt nostra rostra
Nepotibus nec acerba
Resonabunt umquam tua verba.

Vale, amice! Atque pridie Kalendas
Redi Gedaniam nostram Februarias
Irasci noli - fatigatus
Litteras finio - et precor : amatus
tibi - sis ab omnibus hominibus
ut a me amaris
tuus ad axem sepulcralem
Georgius

Olivae, anno MMDCIC a.U.c.
datum a.d. XII Kalendas Februarias

Post scriptum:
Heri conclavibus confraternii studentium Almae Matris Gedanensis carnavali magnus ludus erat. Ego, tuum exemplum sequens, ibi afui. Ceterum animus meus maestus est. Lacrimae meae vestigia sua his inter verbis ... ponunt.
Gaudeo Bydgoviac iterum pulchrum theatrum brevi tempore fore. Qualis benevolentissimus animus theatrum nostrum Gedaniense recreabit?
Si autem (nam hiems reversa est) nostra Alma Mater quaequae nova fama rectoris (sed non agentiae) consilia mutabit, statim tibi litteras electricas mittam.

T.G.

Mój przyjacielu! Dobrze jest, jeśliś zdrów,
Bowiem zdrowie -(jak) wiesz - prawdziwie piękna rzecz,
Lecz ja podwójną chorobą
Dotknięty, opuszczony przez przyjaciół

I przez bliskich, chory, żałosny ...
Lecz jaka choroba? Powiem, jeśli chcesz. Nic więcej
Nic mniej, taka: jest taka choroba
Straszna, i niestety fatalna:
Gdy wczoraj nocą w morfeuszowych ramionach
Spałem słodko, nieświadom - palcami
Złotymi Muza mnie dotknęła.

Teraz mnie poezja stale prześladuje.

Druga część choroby jest straszniejsza
Przyczyną jest także drżenie serca:
"Wakacji - jej imię - koniec".
Jestem smutny jak siwy popiół.

Nie przekażę, Jerzy, tych najpiękniejszych
Kart--- po łacinie --- na tej maszynie napisanych,
Nie ofiaruję tobie swego "Syna",
Snów martwych wszystkich lilii.

Muza nasza wielka opuszczona,
Nigdy nie zabrzmi z naszej mównicy.
Potomkom nawet cierpkie
Twoje słowa nigdy nie rozbrzmieją.

Bądź zdrów, przyjacielu! Także 31, stycznia
Wróć do naszego Gdańska
Nie gniewaj się - zmęczony
List kończę .... i proszę: kochany
przez ciebie - obyś był przez wszystkich ludzi
jak przeze mnie jesteś kochany
twój do osi grobowej
JERZY

W Oliwie, 20. stycznia 1946

Dopisek:
Wczoraj w pomieszczeniach związku studentów Gdańskiej Uczelni była wielka zabawa karnawałowa. Ja, idąc za twoim przykładem, nie byłem tam. Zresztą nastrój mój jest żałosny. Łzy moje pozostawiają swe ślady między tymi .... słowami.
Cieszę się, że w Bydgoszczy znów wkrótce będzie piękny teatr. Jaki najżyczliwszy duch odbuduje nasz gdański teatr?
Jeśli jednak (ponieważ zima powróciła) jakiś nowy pogląd zmieni zamiary rektora naszej Uczelni (ale nie rządu) natychmiast poślę ci list elektryczny.

T(wój). J(erzy).

Umiłowanie języka i literatury łacińskiej, wyniesione z przedwojennej szkoły średniej, okazało się bardzo trwałe. Na przypomnienie zasługują te głębokie myśli, które tkwią w naszej kulturze. Jako przykład mogę przytoczyć "carmen 1,14" Quintusa Horatiusa Flaccusa:

O navis, referent in mare te novi
fluctus! O quid agis? Fortiter occupa
portum! Nonne vides, ut
nudum remigio latus

et malus celeri saucius Africo
antemnaeque gemant ac sine funibus
vix durare carinae
possint imperiosius
aequor? Non tibi sunt intera lintea,
non di, quos iterum pressa voces malo.
Quamvis Pontica pinus,
silvae filia nobilis,

iactes et genus et nomen inutile:
nil pictis timidus navita puppibus
fidit. Tu, nisi ventis
debes ludibrium, cave!

Nuper sollicitum que mihi taedium,
nunc desiderium curaque non levis,
interfusa nitentes
vites aequora Cycladas!

POETA BULK PRZED WOJNĄ SPOLSZCZYŁ TEN WIERSZ NASTĘPUJĄCO:

O nawo, nawo, znów wzburzona fala
na groźne morze gwałtem cię oddala.
Cóż poczniesz słaba wśród takiej podróży?
Powróć do portu, co spokojem płuży.

Prysły kotwice, ni jednego wiosła,
maszt dziko jęczy, burza cię poniosła,
a kadłub statku, choć umrzeć się wzbrania,
trzaśnie za chwilę, bo trzeszczą wiązania.

Jeszcze żaglowe szamota się płótno,
jeszcze są bogi, by wołać ich smutno,
jeszcze się broni maszt, pontyjska jodła,
dumna, że z ciszy leśnej się wywiodła.

O strzeż się, strzeż się ma ojczysta nawo,
jeśli złych wichrów nie chcemy być zabawą.
O trosko moja, o moja słodyczy!
Życzliwej fali syn ci nawo życzy,
wymknij się cało z tej sztormowej zdrady
co czarna wali o jasne Cyklady.

Łacina, występująca w programie średniej szkoły ogólnokształcącej, w okresie powojennym nie była ogólnie znienawidzonym przedmiotem. Pogląd ten ilustruje wydarzenie, jakie pod koniec lat pięćdziesiątych trafiło mi się w Wyższej Szkole Marynarki Wojennej, gdzie pracowałem dodatkowo.

Kalendarzowy plan zajęć był podawany studentom zaraz na początku danego semestru. Wiedzieli zatem, na jakie dni przewidziane są kolokwia pisemne. W dniu, kiedy przyszedłem na drugie kolokwium, na tablicy odczytałem wyraźny napis kredą:

QUOUSQUE TANDEM ABUTERIS PATIENTIA NOSTRA?

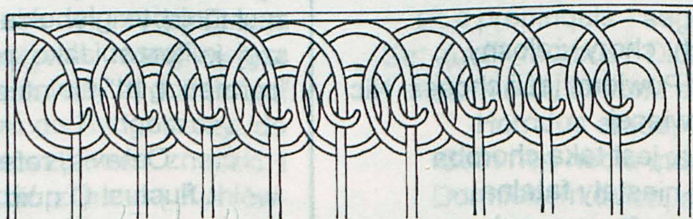
(Jak długo jeszcze będziesz nadużywać naszej cierpliwości?) - stanowiący początek pierwszej mowy Cicerona przeciw Katylinie. Na to zagajenie odpowiedziałem natychmiast, podając ustnie długi cytat z tejże mowy, lekko adaptowany do danych okoliczności. Jego początek brzmiał następująco:

O DI IMMORTALES! UBINAM GENTIUM SUMUS? IN QUA URBE VIVIMUS? QUAM REMPUBLICAM HABEMUS? HI, HI SUNT IN NOSTRO NUMERO, CONSCRIPTI, QUI DE EXITU SAPIENTIAE COGITENT!

(O bogowie nieśmiertelni! wśród jakich to ludzi jesteśmy? w jakim mieście żyjemy? jaką rzeczpospolitą mamy? Ci, ci - są w naszej liczbie zapisanych, którzy o zniszczeniu wiedzy zamyślają!)

Po kolokwium wywiązała się bardzo sympatyczna dyskusja ze studentami. Okazało się, że praktycznie wszyscy zrozumieli moją wypowiedź, której przytoczyłem tutaj jedynie zapamiętany początek.

Jerzy Sawicki



SPORT NA KIJU

Pierwsze powojenne lata na Politechnice charakteryzowały się m. in. ogromną aktywnością studiujących. Wyrażała się ona nie tylko w reaktywowaniu działających przed wojną na Uczelni licznych organizacji studenckich, takich jak: "Bratnia Pomoc", koła naukowe, czy AZS i AZM, ale także powstającymi (czasem były to swoiste efemerydy) kabarecikami czy teatrzykami satyrycznymi. Te ostatnie stały się bazą powstałego w połowie lat pięćdziesiątych słynnego w całym kraju "Bim Bomu". Pojawiły się także wydziałowe pisemka. Nasza redakcja otrzymała kopię (niekompletną) jednego numeru gazetki wydawanej w 1948 roku na Wydziale Mechanicznym. Poniżej zamieszczamy winietę strony tytułowej i kilka fragmentów tekstów, których autorem był Stefan Cieszewski. Obrazują one m. in. klimat panujący na Uczelni a także wspomnianą wcześniej studencką aktywność.



Oto fragment drukowanej w odcinkach "Sielanki Politechnicznej"

SIELANKI POLITECHNICZNE

Wielkie widowisko z udziałem:

Sztywnego Ciała Profesorskiego,
Dwóch Chórów oraz
Doborowej Orkiestry Dętej Koła Mechan.

Chór własiuków: rozpoczyna majestatycznie na melodię "Raz pewien chłop."

Dziś każdy z was bezczelnie drwi
W sposób zupełnie dziki
Lecz w naszych rękach ster wciąż tkwi
Gdańskiej Politechniki.

Chociaż nas tutaj nie chcą znać.
(Wciąż groźnie brzmią okrzyki)
Lecz my na straży będziem stać
Gdańskiej Politechniki.

Gdybyście śmieli (Boże broń!)
Cieszyć się "Stare Byki"
Dosięgnie was karząca dłoń
Gdańskiej Politechniki.

SCENA I.

Kurtyna się podnosi. (Scena I przedstawia siódmy lód. Temperatura i ciśnienie ściśle wg. Clapeyrona-Clausiusa. Przestrzeń silnie i wyraźnie zakrzywiona przy pomocy wykresów przestrzennych. Tło - podłoże sprężyste.)

ERGOL:*) (Wchodzi przepasany entropią, w ręku kij; z kieszeni niedbale wygląda mu funkcja stanu. Wzrok wbity w skończoną nieskończoność. Zaczyna nonszalancko.)

W dziale "Ogłoszenia Urzędowe" - pojawiły się takie:

Dnia 11. bm. odbędzie się w Aud. Max. akademia pod hasłem:

"Przy Tobie Najjaśniejszy Dziekanie stoimy i zawsze stać będziemy."
na którą zaprasza Międzywydziałowy Klub Wazeliniarzy Studentów Politechniki Gdańskiej.

Osobom, które sądzą, że rozumieją termodynamikę, niniejszym oświadczam, że są w błędzie, ponieważ ja sam jej nie rozumiem..

(-) Ergol.

O g ł o s z e n i e.

Studentom, którzy dotąd z jakichkolwiek bądź powodów nie poddali się obowiązkowi szczepienia ochronnego przeciw wściekliźnie, będzie zabroniony wstęp na teren Politechniki, ze względu na ogólne bezpieczeństwo.

Winni zostaną surowo i przykładnie ukarani.

Pierwszych trzech złapanych zostanie ponadto dla postrachu poddanych "dyszeniu" oraz "kryzowaniu", z zamianą na dwa lata aresztu semestralnego. Za mniejsze przestępstwa, przewiduje się kary od 5 - 15 kolokwiów.

W zastępstwie
(-) Ergol.

I na koniec fragment ostatniej pozycji wspomnianego 6-tego numeru "Sportu na Kiju".

K o l e d z y m i l i.

A oto już szósty numer naszego Pisemka roztacza się przed. Waszymi oczodołami. Łezki cisną się Wam na pewno na ten tak smutny widok ostatniego w tym roku (ak. - przyp. Red.) numeru, ale tak już ten świat urządzony, że trudno żyć nieprzyzwyczajonemu, bo rolują - rolują - rolują (gdzie mogą - przyp. Red.).

Okres egzaminów jak smok wielogłowy stanął na Waszej drodze. Nie ma już ucieczki - musimy wleźć mu do paszczy i wyjść drugą stroną. Pytanie tylko w jaki sposób to zrobić aby nie ugrząść w którymś z jego przepastnych żołądków. Damy Wam przeto pewną radę, która powinna nieocenione oddać Wam usługi. Wchodząc na każdy egzamin splućcie dyskretnie 2n + 1 razy (n naturalne - przyp. Red.) za siebie przez butonierkę. Skutek gwarantowany przez wynalazcę.

*) Ergol - pseudonim, nadany przez studentów, wykładowcy termodynamiki - prof. Wiśniowskiemu





Anegdoty

Historia, którą opowiem wiąże się z osobą profesora Polaka, o którym liczba anegdot i powiedzonek krążących wśród studentów była ogromna. Otóż, gdy Profesor otrzymał Nagrodę Państwową za projekt maszyny głównej przeznaczonej na m/s Sołdek (pierwszy statek zbudowany w Stoczni Gdańskiej) i następne pięć rudowęglowców, - byłem studentem na Wydziale Budowy Okrętów i jednocześnie pracowałem w gdańskiej rozgłośni Polskiego Radia. Pewnego dnia zwróciła się do mnie redakcja Nauki i Techniki I programu Polskiego Radia w Warszawie, bym przeprowadził wywiad z Profesorem - laureatem. Nie chciałem jako student (mimo że byłem już po egzaminie z części maszyn) zwracać się z taką prośbą do Profesora. Odpowiedziałem, że chętnie - ale proszę, by redakcja uzyskała zgodę Profesora na wywiad i uzgodniła moją u Niego wizytę. Tak się stało i pewnego dnia wkroczyłem do Katedry, już bez zdenerwowania, bo nie jako student, ale dziennikarz - reporter. Mimo iż Profesor mnie znał, uważał, że w tej sytuacji nie ma studenta, a dziennikarzowi w rozmowie należy wszystko dokładnie tłumaczyć co to jest ta maszyna parowa, jak funkcjonuje, jakie są jej zalety i.t.p. Summa summarum rozmowa była sympatyczna, a Profesor z uśmiechem na twarzy (nigdy Go takiego nie widziałem) opowiadał o swej pracy na Politechnice Lwowskiej.

Po napisaniu tekstu i uzyskaniu autoryzacji, (przeczytawszy ów wywiad Profesor powiedział: "zgrabnie Pan to, co mówiłem ujął") - umówiłem się w studio na nagranie. Profesor przyszedł w ciemnym garniturze i bardzo zdenerwowany - ze wstydem dziś przyznaję, że gdy to zauważyłem miałem taką małą satysfakcję. "Mój Boże - tak pomyślałem - "Polak" przed rozmową ze mną - zdenerwowany!!!"

Po nagraniu i przesłuchaniu usłyszałem: (pamiętam piękny baryton, no i ów śliczny, lwowski akcent Profesora)

- Wi Pan co, tak słuchałem i słuchałem, i ten głos to zupełnie jak mój stryj nieboszczyk!

Nie znałem profesorskiego stryja, więc tylko pokiwałem przytakująco głową.

Wychodzimy ze studia, w holu podaję memu rozmówcy płaszcz, podziękowanie, uścisk dłoni, odprowadzam mego gościa do drzwi.

Po kilku minutach Profesor wraca i mówi:

- Przepraszam pana, czy za taki wywiad dostaje pan jakieś honorarium?

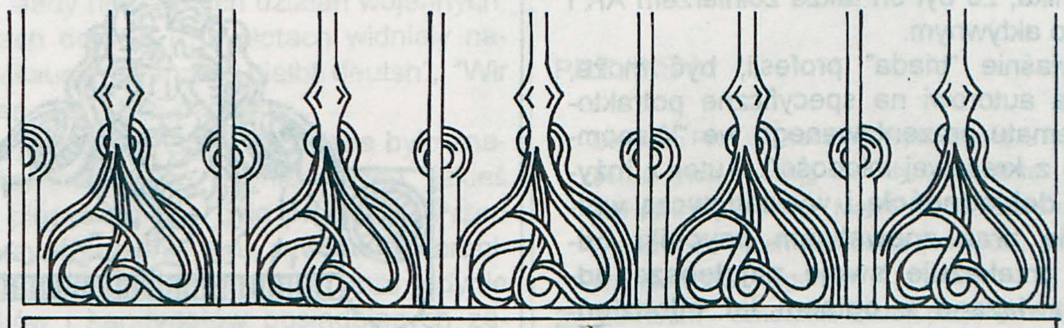
- Oczywiście, Panie Profesorze.

- No to wi pan co? - jest pan pierwszym człowiekiem, który na POLAKU ZAROBIŁ - gratuluję.

Jeszcze przez wiele lat jakie upłynęły od owego wywiadu, na moim Wydziale i nie tylko, mówiło się, że podobno był taki student, który ZAROBIŁ na POLAKU! *)

*) uprzedzając ewentualne pytania - informuję, iż niestety, taśma z owym nagraniem, nie "dotrzymała" do dzisiejszych dni. Wszak to od tamtego wywiadu minęło prawie pół wieku.

Olgierd Pawłowski



Nasze recenzje

"Słońce ostatnich kresów nieba dochodziło ..."
(Adam Mickiewicz)

Uważne śledzenie rynku wydawniczego stanowi nie tylko moją pasję, ale głównie wynika z zawodowego obowiązku.

Nic też dziwnego, że z łatwością mogę określić rażące tematyczne niedomagania licznie powstałych i funkcjonujących małych lub większych oficyn wydawniczych, które w pogoni za dającym się częstokroć łatwo zdobyć czytelnikiem, dokonują łatwo i szybko wszelkiego rodzaju przedruków, zaniedbując większość tematów, które powinny znaleźć poczesne miejsce wśród wydawnictw będących do dyspozycji księgarń. Tematem takim jest również zapewne szeroko rozumiana "**tematyka wileńska**" **dotycząca wcale niemałej grupy ludzi naszego kraju**. Powiedzmy jaśniej - **tematyka dotycząca ludzi żyjących wśród nas, ludzi charakteryzujących się dużą serdecznością, otwartością i ciepłem, które emanuje z nich mimo przeżytych nie najłatwiejszych kolei losu**.

Z dużym zainteresowaniem sięgnęłam więc po wydaną pod auspicjami Towarzystwa Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej Oddział w Bydgoszczy, książkę Kazimierza Iwanowskiego " Wspomnienia z kresowej młodości".

Zainteresowanie moje spotęgowane zostało faktem, iż prof. Kazimierz Iwanowski jest absolwentem, a także długoletnim pracownikiem naukowym Politechniki Gdańskiej zajmującym się mechaniką; z krótkiego życiorysu wynika, że był on także żołnierzem AK i to bardzo aktywnym.

Ta właśnie "triada" profesji, być może, pozwoliła autorowi na specyficzne potraktowanie tematu prezentowanego we "Wspomnieniach z kresowej młodości". Autor **z inżynierską dokładnością i wywiadowczą wnikliwością oraz znawstwem psychiki odbiorcy, przekazuje swoje najgłębsze odczucia związane z opisem lat młodzieńczych**, ich odejściem w przeszłość, a co najważniejsze utratą ukochanego skrawka Ziemi Wileńskiej, majątku Lebiodka.

O dużym szacunku K. Iwanowskiego dla czytelnika świadczą przedstawione **w sposób bardzo malowniczy opisy przyrody**, otaczającej rodzinny majątek Lebiodka.

Autor ze szczególnym sentymentem opisuje **obyczaje, panujące w ziemiańskich rodzinach wileńskich**, przedstawiając szczegółowo przygotowania i przebieg świąt oraz wyprawy na polowania i wiele, wiele innych wydarzeń. Książka "Wspomnienia z kresowej młodości" dzięki bardzo **obrazowej narracji autora** pozwala czytelnikowi na odczucie uczestniczenia w opisywanych przeżyciach, a to już jest dużą umiejętnością poważnego traktowania odbiorcy.

Jako wielki **przyjaciel zwierząt autor** wiele miejsca poświęca ukochanym psom, opisując rozczulające wprost wydarzenia i podstępne dziecięce zabiegi, aby umilić nieraz utrudnione psie życie, ryzykując nierzadko smutnymi dla dziecięcego losu konsekwencjami - "laniem".

Słowem, **książka łatwa, ciekawa i przyjemna, adresowana do znawców dobrej literatury**, powiedzmy jaśniej, znawców literatury o zabarwieniu obyczajowo-patriotycznym.

Janina Ligman



Listy do Redakcji

W końcu lata 1945 roku otrzymałem zawiadomienie o dopuszczeniu do egzaminu wstępnego na studia na Wydziale Elektrycznym Politechniki Gdańskiej. Dzień przed terminem egzaminu zapakowałem do teczki niezbędny prowiant wraz z bielizną i wczesnym rankiem wyjechałem z Bydgoszczy do Gdańska. Była to trochę podróż w nieznane, bowiem nie miałem zapewnionego zakwaterowania, a powojennego Gdańska jeszcze nie znałem. Do Tczewa podróż przebiegała normalnie; pociąg się trochę wlókł. W Tczewie dłuższy postój, bo odczepiano parowóz i przestawiano go na tył pociągu, by zmienić kierunek jazdy. W tym czasie na peronie pojawili się żołnierze z pepeszami i przeprowadzali kontrolę dokumentów wojskowych. Wyprowadzili z wagonów kilku młodych mężczyzn, jak się okazało - kandydatów na studia w Gdańsku, i dopiero po interwencji jakiegoś oficera, dosłownie w ostatniej chwili pozwolono im wsiąść do pociągu. Tego rodzaju kontrole w Tczewie odbywały się jeszcze przez dwa lata.

Ostatni raz z Tczewa do Gdyni przez Gdańsk jechałem latem 1938 roku. Jakże inaczej wyglądał wówczas krajobraz! Teraz część Żuław była zatopiona a gdzieniegdzie z wody wystawały resztki wyposażenia wojskowego. Przed siedmiu laty już od przedmieść Gdańska pełno było flag ze swastyką wywieszonych z okien budynków, a wzdłuż ulic całe ich szpalery, rozpięte na słupach. Teraz szaro, brudno, ruiny domów ... ; jeszcze bardzo widoczne ślady niedawnych działań wojennych. Na ścianach domów i na płotach widniały napisy: "LS-Raum" ,"Danzing bleibt deutsh", "Wir kapitulieren nie!" i tym podobne.

Po przyjeździe do Gdańska trzeba było znaleźć Politechnikę i, co równie ważne, jakieś lokum. Z pierwszym nie było problemu. Przed bramą, przy wartowni, dwu cywilów z karabinami wpuszczało na teren Politechniki jedynie pracowników i kandydatów posiadających zawiadomienia. Listy kandydatów, z podziałem na sale, były wywieszone na tej ścianie budyneczku portierni, która jest zwrócona do Gmachu Głównego. Przed tablicą ogłoszeń tłum. Po kilku minutach docisnąłem się do tablicy i znalazłem swoje nazwisko blisko numeru dwustuczterdziestego. Znalazłem jeszcze nazwiska kolegów z klasy maturalnej: Józefa Sałacińskiego (późniejszego prorektora P.G.) oraz Henryka Trzemżalskiego.

Wraz z kilkoma kandydatami wybrałem się na poszukiwanie noclegu. Znaleźliśmy go w pobliżu Politechniki, w schronisku prowadzonym przez Czerwony Krzyż. Tam również, za drobną opłatą, można było dostać skromny obiad. W kilkunasto-osobowym pokoju wszyscy nocujący to przyszli studenci. Następnego dnia egzamin, do którego byłem dobrze przygotowany, bowiem w okresie wojny uzupełniłem wiadomości z matematyki i fizyki. Z problemami egzaminacyjnymi uporałem się grubo przed czasem.

Pozostało oczekiwanie na wynik egzaminu. Przy okazji obejrzałem teren Politechniki. Budynki wydziałów były nienaruszone, natomiast Gmach Główny był poważnie uszkodzony; można było - w niektórych jego partiach - zlecieć z poddasza na parter. Za Gmachem Głównym, od strony Wydziału Chemicznego, było jeszcze kilkanaście grobów ofiar niedawnych walk. Na cmentarzu przed Politechniką wiele grobów nosiło ślady rabunku. Następnego, czy trzeciego dnia, znalazłem swoje nazwisko na liście przyjętych i mogłem powrócić do Bydgoszczy. Tak się zaczęła moja kilkuletnia przygoda z Politechniką Gdańską.

PRZYPISY:

1. Dworzec PKP w Tczewie znajdował się w innym miejscu niż teraz i pociąg do Gdyni stawał tak, jakby miał jechać dalej w stronę Malborka; ten stary układ torów zmuszał do przemieszczenia parowozu na przeciwny kraniec składu wagonów.
2. "LS-Raum" - oznaczało schron przeciwlotniczy, "Danzing blejbt deutsch" - "Gdańsk pozostanie niemiecki", "Wir kapitulieren nie" - "Nigdy nie skapitulujemy !"

3. Przy bramie głównej straż pełnili uzbrojeni cywile, członkowie "Straży Akademickiej", zorganizowanej przez rektorat P.G.

4. Schronisko Polskiego Czerwonego Krzyża znajdowało się w budynku mieszkalnym przy Grunwaldzkiej 2.

5. Groby koło Gmachu Głównego mogły kryć zwłoki Niemców, którzy zmarli w szpitalu polowym, jaki od początku 1945 działał w Gmachu Głównym

mgr inż. **Tadeusz Wysocki**
(∗ 08.06 1921), dyplom 22.12.1950.

Politechnika Gdanska — Gdansk, dnia 5. 9. 1945 r

Wrzeszcz

180/E

ZASWIADCZENIE Nr 12

Niniejszym zaswiadcza sie ze Ob. Wysocki Tadeusz

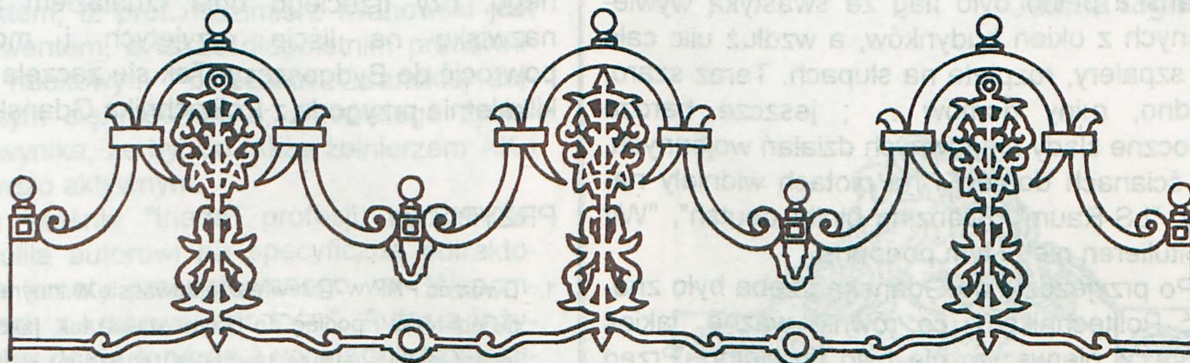
ur. ......, zam. Bydgoszcz Sienkiewicza 19 zglosil sie na studenta

Politechniki Gdanskiej w dzial elektrotechniczny

Zaswiadczenie wydaje sie celem przedlozenia Wladzom Wojskowym i Kolejowym.

Sekretariat Politechniki.

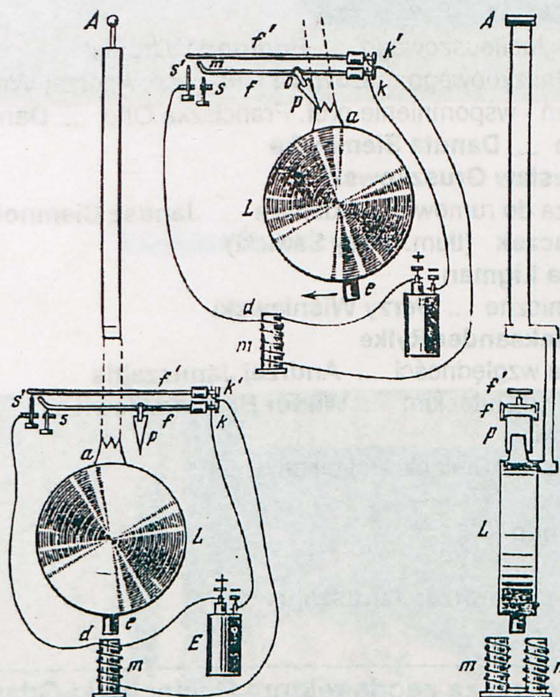
RZECZPOSPOLITA POLSKA
POLITECHNIKA GDAŃSKA



ZASADA DZIAŁANIA ZEGARA HIPPA

Na okładce: Zegar Hippa wchodzący w pierwotny skład wyposażenia Politechniki Gdańskiej - obecnie w zbiorach Pracowni Historii Biblioteki Głównej

Wahadło zawieszone w punkcie **A** ma na dolnym końcu soczewki **L** stalowy trzpień **e**, mający nabiegunniki elektromagnesu **m** w odległości 1 - 2 mm. U góry soczewki, w prostokątnym wykorbieniu dźwigni wahadła przymocowany jest agatowy grzebień **a** z 3 zębami. Nad nim znajdują się dwie sprężyste dźwigienki **f** i **f'**, oparte na stykach **s** i **s'**. Na dolnej dźwigience **f**, nieco w bok od pionowej osi symetrii wisi stalowy języczek **p**. Źródło stałego napięcia (ogniwo) **E** jest połączone poprzez uzwojenia elektromagnesu z końcami **k** i **k'** dźwigienek **f** i **f'**. Dopóki amplituda jest dostatecznie duża, puszczone w ruch wahadło waha się swobodnie. Grzebień **a** prześlizguje się po języczku **p**, przestawiając go z lewa na prawo i odwrotnie. Kiedy opory ruchu zmniejszą amplitudę, języczek zakleszcza się między zębami grzebienia, które podnoszą go do góry wraz z dźwigienką **f**, powodując zamknięcie obwodu i przepływ prądu przez elektromagnes. Wahadło jest w tym momencie lekko wychylone od pionu. Pole magnetyczne przyciąga swo-rzeń **e**, wahadło uzyskuje impuls przyspieszający, języczek **p** wychodzi z zazębienia z grzebieniem **a**, dźwigienka **f** opada i przerywa obwód. Wahadło waha się ze zwiększoną amplitudą. Po 8-10 wahnięciach amplituda zmniejsza się do "krytycznej" wartości i wszystko powtarza się na nowo. Dodatkowy przewód **d - s'** zapobiega powstawaniu iskry w momencie rozłączania: przy opadaniu dźwigienka **f'** opiera się na styku **s'** i krótkotrwały prąd otwarcia płynie przez **d - s'**.



Zegarmistrz szwajcarski Matthias Hipp (1813-1893) pokazał swój pomysłowy mechanizm najpierw na wystawie w 1843 r. w Berlinie. W 1865 r. uzyskał patent w Niemczech, w 1869 r. w Wielkiej Brytanii. Zegar był wielokrotnie ulepszany. Stosowano go w chrakterze zegara-matki, zasilającego sieć czasu w fabrykach i instytucjach - także na kolei. Błąd wskazań nie przekraczał 10 sekund na rok.

Andrzej Januszajtis

Kazimierz Śramkiewicz

Początki zajęć na Wydziale Architektury w 1945 r. oparto na stosunkowo nielicznej kadrze nauczycieli akademickich, którzy w specjalistycznych zespołach kontynuowali organizację Wydziału oraz sposób prowadzenia i tematykę zajęć przeniesione z Politechniki Lwowskiej.

Powołana w październiku 1945 r. Katerda Rysunku i Malarstwa, zorganizowana przez prof. Władysława Lama, dostała trzech asystentów: Aleksandra Kobzdeja, Zdzisława Kałędkiewicza, Kazimierza Śramkiewicza.

Ostatni z wymienionych, z architekturą był związany podwójnie. Sam rozpoczął studia architektoniczne we Lwowie w 1932 r, na tamtejszej Politechnice a równocześnie, jako student trzeciego roku, został powołany w 1938 r. na asystenta w pracowni prof. Władysława Lama. Jako uzdolniony grafik i malarz, coraz bardziej zaniedbując studia architektoniczne, realizował obok pracy dydaktycznej - swoje życiowe pasje malarskie. Jeszcze w maju 1939 r. społeczeństwo Lwowa miało okazję poznać dorobek artysty na indywidualnej wystawie w Salonie Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych we Lwowie.

Urodzony 20 stycznia 1914 roku, w Poniecu, pow. Gostyń, woj. Poznań jako syn Aleksandra i Weroniki z d. Pospieszyńskiej tak zafascynował się rysunkiem i malarstwem, że zrezygnował z dalszych studiów architektonicznych, całkowicie poświęcając się tej nowej profesji.

Wybuch wojny zastał artystę w poznańskim, w Grodzisku Wielkopolskim. Cały swój dorobek artystyczny wraz z mieszkaniem pozostawił we Lwowie. Jego dalsze losy to praca w charakterze kreślarza w Brześciu Kujawskim i malowanie... Dzięki nim przeżył wojnę.

W 1945 r. po obejrzeniu młodzieńczych prac, które ocalały w pomaturalnym domu rodziców, a które przywiózł ze sobą do Gdańska, Śramkiewicz został zaproszony przez prof. Lama do swojej nowo utworzonej katedry na Politechnice Gdańskiej. Obok dydaktyki na Wydziale Architektury sam dużo malował. W 1947 r. na Wydziale Sztuk Pięknych Uniwersytetu Toruńskiego po prezentacji swoich prac uzyskał dyplom magistra sztuki. Obok własnej twórczości oddał się całkowicie dydaktyce, okazując się znakomitym mistrzem również w tej dziedzinie. Wspomagał profesora indywidualnymi korektami, w których potrafił przekonać najoporniejszych do swoich racji. Skutki tych rozmów po pewnym czasie objawiały się nie tylko lepszą frekwencją, ale czasem wyższą oceną prezentowanych prac - wpisem "celujący" do indeksu. Zachęcało to studentów do dalszych wysiłków i podnoszenia poziomu tych prac, sprawiedliwie ocenianych przez profesora, po wcześniejszych sugestiach jego asystentów.

Janusz Ciemnołoński

W numerze

Wydano za zgodą rektora Politechniki Gdańskiej.

Redaguje zespół w składzie: Danuta Siemińska (red. prowadzący), Janusz Ciemnołoński, Bożena Hakuć, Andrzej Januszajtis, Janina Ligman, Olgierd Pawłowski.

Projekt okładki: Janusz Ciemnołoński.

Zdjęcia: J. Ciemnołoński, T. Chmielowiec, K. Lelewicz, ze zbiorów Pracowni Historii BG PG, ze zbiorów prywatnych

Przerywniki graficzne: Elżbieta Garwacka

Wydawca: Biblioteka Główna Politechniki Gdańskiej, 80-952 Gdańsk, ul. Narutowicza 11/12. tel. 47-25-75, fax 47-27-58.

Adres Redakcji: Biblioteka Główna Politechniki Gdańskiej, 80-952 Gdańsk, ul. Narutowicza 11/12, Pracownia Historii p. 202 Gm.Gł., tel. 47-29-95.

Skład: ARTCOMP s.c, ul. Piastowska 76A/10, tel. 53-62-16

Druk: Drukarnia Oruńska Gdańsk, ul. Świętokrzyska 47, tel. 39-93-51, fax 51-51-48.

Numer zamknięto dnia 1996.02.21.



Ołowianka

Kazimierz Śramkiewicz

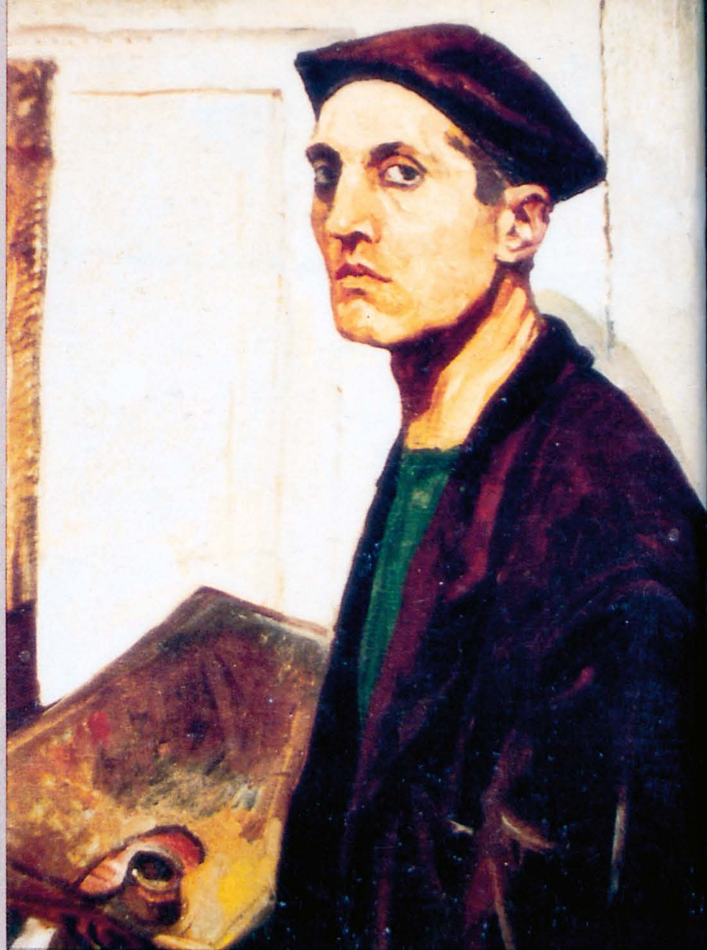
Barki na Motławie

1963





W pracowni artysty 1951



Autoportret 1956

Kazimierz Śramkiewicz

Ojciec artysty 1954



Ojciec artysty 1948

